

BRZASK

*Błądzące światła, mieszkańcy snów
Prostujcie drogi, czuwajcie znów
Wolajcie góry, niech szumi wiatr
Prostujcie ścieżki, nadchodzi Pan.*
Tomasz Budzyński "Adwent"

Ciężka chmura zakryła rąbek pełnego, bladego jak twaróg, księżycy. Sypki, świeży śnieg skrzypiał pod kołami ciężkich, czterokołowych arb. Woly dyszały, klęby pary buchały z ich nozdrzy. Na każdym z dziesięciu obladowanych wozów siedziała krępa masywna persona, otulona futrzanym płaszczem. Drogę kawalkadzie torowało czterech jeźdźców, o podobnym woźnicom wzroście. Zza pasów ściskających ich kapoty wystawały krótkie topory o szerokich ostrzach. Ariergarda liczyła więcej, bo sześciu osobników. Wierzchowcami wszystkich były wytrwale kuce górskie o sierści prawie tak gęstej jak brody podróżników.

Wąska dróżka wiodła płytkim jarem, otoczonym przez zeschle krzewy. Woly szły wolno, ostrożnie. Było stromo. I choć wiodącemu pochód Dellingowi spieszyło się bardzo, bał się przyspieszyć.

Bora, wiejąca od morza, mroziła oddechy, sypała śniegiem w oczy i zostawiała szron na krasnoludzkich brodach. Każdemu silniejszemu podmuchowi towarzyszyła kaskada przekleństw, jakich i ludzie by się nie powstydzili.

Ta sama wieją kolysała odległymi o sześć mil, stojącymi w zatoczce, barkasami. I ich załogi klęły. Choć za sprawą ciepłych prądów morskich, woda w zatoczce nie marzła mimo siarczystego zimna, bo ziąb był okrutny. Nawet pośród wyspiarzy, nawykłych do mrozów, nie było takiego, który byłby rad, słysząc, że przyjdzie mu czekać na chłodzie. A czekali już na krasnoludzki konwój ładnych kilka godzin.

Czekali na próżno.

Zeschnięte gałązki przydrożnych chaszczy rozchylily się cicho.

Koła wozów skrzypiały, wiatr wyl posepnie... Tknięty przecuciem Delling zatrzymał się i uniósł głowę. Nie słyszał nadlatującej strzały. Poczul tylko ukłucie w okolicy serca. Zsunął się z kuca, spadając twarzą prosto w śnieg.

- W imieniu Jego Królewskiej Mości, Ogmunda, króla miłościwie nami władającego, pana Beliadoru, Lukki, Bergen i Borogne, Kotom i Roeserberke, protektora Wysp Borealu i zwierzchnika Małego Ludu, ja Alenharst, Namiestnik Północnej Marchii, wzywam was, kontrabandyści, do złożenia broni i oddania się w me ręce! W zamian czeka was lekka śmierć, a będziecie mieć i prawo do procesu.

Krasnoludy, słysząc owo wołanie, jak jeden mąż sięgnęły po topory. W tym momencie zza krzaków poczęły wychodzić zbrojni: sześciu, piętnastu, trzydziestu. Jeden z brodaczy skoczył w ich kierunku, lecz przytrzymany przez swoich kamratów, zaniechał ataku.

- Zostaw. To na nic - rzekł najstarszy z krasnali, rzucając topór w śnieg.

Światła pochodni rozpraszały panujący mrok. Otwarto drzwi ratuszowego więzienia. Pojawili się gwardziści, a za nimi...

Tłum zgromadzony na rynku miasta Lukka zawrzał. Z więzienia wyszło kilkunastu zakutych w kajdany krasnoludów. Wśród nich miał być, jeśli dawać wiarę plotkom, najslawniejszy z krasnoludzkich przemytników, Dwalain. Krążyły o nim legendy. O nim i jego kompanie Dellingu.

Alenharst, obserwujący wszystko z boku, uśmiechnął się pod wąsem. Monarcha przysłał go do Lukki, tego najdalej wysuniętego na północ portu królestwa, po to, by owe przemytnicze legendy zniszczyć. I napisać nową... O krwawej zapłacie, jaką król przygotował dla nieposłusznych.

Na taras przed ratuszowym gmachem, gdzie w otoczeniu gwardzistów stali skazańcy, wyszedł mężczyzna w bieli. Biały kaptur całkowicie skrywał twarz. Ale tłum go znalazł, więc zawrzał ponownie.

To był kat.

Białe szaty, w które był odziany, symbolizowały prawo i sprawiedliwość królewską...

...a czarny, zupełnie czarny, miecz wydobyty ze zgrzytem z pochwy, przepowiadał los przestępców. W istocie był on nie do pozazdroszczenia.

Na tarasie nie było charakterystycznych dla egzekucji tego sortu pniaków, na których skazańcy kładliby swe głowy w oczekiwaniu na śmiertelny cios. Nie, czymś takim ów mocarz, owo żywe przedłużenie zapisanych kart Brewiarza Północnego, najdoskonalszego zbioru praw na północ od Arkony, plamić się nie myślał. Znany był bowiem z tego, co zresztą miało swój udział w ściągnięciu tak wielu ludzi na rynek, że ścięcia dokonywał, gdy skazańcy stali. A do tego ścinał bynajmniej nie pojedynczo. Najlepszym, pamiętanym w Luce wynikiem było pięć głów za jednym zamachem.

Alenharst uznał, że pora na niego. Precisnął się przez ludzką ciżbę i wszedłszy po schodach na taras, stanął obok kata, trzymając w ręku zwój papieru - postanowienie gromadzkie.

- Gromada rzeczce - ryknął, przekrzykując wrzawę - że wszystkie karły tu stojące dopuściły się

następujących przestępstw: nielegalnego przekroczenia granicy Królestwa, kontrabandy, handlu z piratami z Wysp Borealu oraz przestępstwa spisku przeciw Królestwu. Bo czyż handel bronią z wrażą siłą, patrzącą tylko, kiedy uderzyć na nasze państwo nie jest parszywym, godnym potępienia knowaniem?

Pan namiestnik potoczył wzrokiem po zgromadzonych. W oczach tańczyły mu ognie. Ludzie potakująco kiwali głowami.

- Zatem wyrok Gromady mógł być jeden - rzekł głośno, acz spokojnie, by po krótkiej przerwie dodać z iście fanatycznym zapalem: - Winni!

Tłum zawrzał po raz trzeci.

A potem głowy krasnoludów zaczęły spadać na taras. Kamienne schody spłynęły krwią.

Głosy wołały ze wszystkich stron. Nienawistne, pełne pasji, wrogie. Okrwawiona twarz pojawiała się co i rusz w rozświetlającym co chwila mrok, czerwonym świetle. Dziewczyna wiedziała, że kroczy czarnym, długim tunelem... Ktoś ją gonil... Mrozący oddech zlego... Poczula go na sobie, poczula nienawistny dotyk, przynoszący jednocześnie rozkosz i cierpienie. Twarze - powykręcane, groźne, zębate, długie i szpiczaste, to znów okrągłe jak gomółka sera... Wszystkie jednak straszne, w każdej bowiem ten sam rys. Razem składały się w układankę, w jeden obraz, którego nie widziała, nie mogła zapamiętać. A jednak był... Morze krwi, płomienie, chmury olbrzymich nietoperzy, węże, karaluchy, trupy... Czula dreszcze, chciała się uwolnić. Oddech za nią przyspieszał. Biegła... ale cały czas słyszała za sobą lęk. Pragnęła coś zrobić, walczyć... Ręka szukała czegokolwiek odpowiedniego, by zadać cios. Strach, strach, strach... Zrób coś, walcz, wróg jest blisko ciebie!

Egis, dygocząc, ociekając nerwowym potem, ocknęła się z koszmaru. Usiadła na wygodnym łóżku zafundowanym jej przez wuja. Oddychała płytko. Targnął ją cichy płacz. Jej pokój mieścił się we wschodnim skrzydle rezydencji rodziny Hagaldów. Z nadzieją spojrziała w okno.

Chwała bogom, jeśli jacy istnieją - przemknęło przez jej uroczą, zgrabną główkę.

Nadchodził brzask.

Spod białej, prawie przejrzystej skóry Eina Hagalda przebijała sina siateczka żył. W zaspanych oczach wciąż czaiły się odłamki potłuczonego niespodziewaną wizytą, polibacyjnego snu. Komnata, w której siedział, była mała, ciemna, z jednym wąskim oknem na zachód. Zasnuwał ją dym arakhu, ziela, palonego powszechnie dla orzeźwienia. A ów najbogatszy mieszkaniec Lukki potrzebował być trzeźwym. Zaraz, natychmiast!

Z powodu pewnej kłopotliwej wizyty. Przy kwadratowym, dębowym stole Ein bynajmniej nie siedział sam. Krasnoludy, wierzące się na zbyt dużych dla nich krzesłach naprzeciwko niego, wyglądały na wścickie. Ein wiedział, dlaczego. Wiedział też, że musi

swoich gości uspokoić. Bo jeśli nie... Cóż, zyski, jakie czerpała rodzina Hagaldów z pośrednictwa w nielegalnym handlu bronią wynosiły ledwie trzydzieści tysięcy koron rangardzkich miesięcznie. Ledwie... Suma równa budżetowi królewskiego garnizonu. Roczemu budżetowi.

- Dość - stwierdził zachrypłym głosem szpakowaty krasnolud. Gąszcz włosów, który skrywał twarz i kawał tułowia karła, falował w rytm przyspieszonych, nerwowych oddechów. - Czarna dla nas ta zima. Z ręki Alenharsta zginęło już siedemdziesięciu naszych. A ile broni przechwycono! Kuźnie nie będą darmo dozbrajały garnizonów królewskich. Zwłaszcza teraz. Zatem w imieniu wszystkich korporacji platnerskich i kuźni mówię:

dość! Czy wiesz, człowieku, jakże trudno teraz o ochotnika do transportu? Przez tego diabła, psa króla, interes nie idzie, lud nasz gubimy...

- Byli nieostrożni - przerwał ciężkim głosem Ein. - Ostrzegalem przecież!

- Rzekłbym, gównu twe przestrogi warte, jeno odchodom ubliżać nie chcę! - ryknął krasnolud, a Ein, choć widzieć tego nie mógł, przysiągłby, że jego rozmówca zsiniał. - Ty nie od przestroż jesteś. Po jaką cholere korporacje z tobą w komitywę wlażyły? Koneksje masz, fortunę, to i bezpieczeństwo być miało.

- Było - mruknął Hagald ponuro. - Było, póki się Alenharst nie zjawil.

- A co ty mnie o oczywistościach mówisz? Ja nie tego chcę! Bezpieczeństwo i pieniądz ważne! Po toś jest. I ty mnie i innym krasnoludom bezpieczeństwo zapewnisz. Bo zamówienia nowe są, towar jest, ale strach słać. Bo ów Alenharst...

- Jakie zamówienia? - przerwał Ein. Im bardziej był rozbudzony, tym uważniej słuchał karłów. - Niczego nie słyszał, a przecież z wyspiarzami jeszcze stare umowy nie uregulowane. Macie opóźnienie.

- Opóźnienie przez ciebie jest, panie Hagald! A nowe kontraktacje nie od wyspiarzy, a na...

- Na front - wyrwał się inny krasnolud, widząc wahanie pierwszego. - Nie ma co skrywać, Niping. Pieniądz wielki, rzekłbym, jest do zrobienia. Wszystkie korporacje platnerskie jednym głosem mówią, obstalunki jakich jeszcze nie bywało, kuźnie huczą, dymy nad górami się snują, kopalnie rud nie nadążają słać. Miecz, misiurka i tarcza to teraz towar pokupny. I dla ciebie, panie Hagald, miejsce w tym interesie będzie. Sumy takie zarobisz, że gdy wyspiarze w końcu nadiągną, ty od nich władzę wykupisz i Lukka będzie twoja. Jeden warunek...

- Wiem - powiedział cicho przywódca rodu Hagaldów. -Bezpieczeństwo załadunku... Ale kto? Nasz król broni ma dość, jeno ludzi brak. Inne monarchie takóž. Zatem... Iranion - rzekł, a kiedy spojrzal w oczy krasnoludów zrozumiał, że miał rację. -Toż do jawnej zdrady mnie wiedziecie.

- A coś innego robił przez ostatnie dziesięciolecie? - spytał drwiąco Niping. - Tyle, że skala była mniejsza.

Wyspiarze tak samo z waszym królestwem walczą jak Iranion. A że słabsi...

Krasnolud zawiesił głos. Zapadła cisza. Ein Hagald rozbudził się już całkiem. Skronie pulsowały wzburzoną krwią, myśli kłębiły się w głowie arystokraty niczym węże. I, w większości, jak węże były jadowite. Zdrada? A cóż to jest? Komu być wiernym? Temu rozsypanemu, pełnemu dumających o dawnej świetności niby-imperium? Holocie? Klikom możnych w Beliadorze, którzy państwo doją jak krowę, nie bacząc, że ta starucha więcej wody niż mleka dać może? I tak w każdej z szesnastu starych monarchii. Może przydałby się jakiś otrzeźwiający kubel wody? Choćby i z Iranionu, czy Wysp Borealu. Nieważne. Ważne, by jak fala przyjdzie, mnie nie zmiotła, by ród Hagaldów został na pokładzie.

- Ile? - wyszeptał.

Brody krasnoludów rozchyliły się, ukazując w uśmiechach rzędy białych zębów.

- Korporacje oferują dla ciebie, panie Hagald, opłatę w wysokości dziesiątej części kontraktu. Czyli, plus minus, pół miliona koron rangardzkich - rzekł z namaszczeniem Niping. - Płatne z góry.

- Bogowie - wykrzyknął Ein. - Armie chcecie uzbroić!

- To nie koniec - dodał drugi krasnolud. - Mając pod rozwagę fluktuacje kursów i słabość rangardzkiej waluty, wywołaną wojną, zażądaliśmy zapłaty pewniejszym środkiem. My, ludzie interesu. Nikt tracić przecie nie chce. I Iranion zapłacił. Złotem! Zatem, jako że partnerzy nie od dziś jesteśmy, tak i my tym samym zapłacimy tobie.

Tym razem Ein Hagald nie odpowiedział nic. Jego oddech i tętno jeszcze przyspieszyły.

- Okręty przyplyną najdalej za dwa, góra trzy tygodnie - mówił Niping. - Na ten termin nasz problem musi przestać istnieć. Ma nie być żaden problem, jakby rzekł mój dziadunio.

Krasnoludy zarechotały. O sklerozie wiekowego antenata Nipinga krążyły legendy. Stąd brał się też specyficzny sposób wysławiania.

- Przydałyby się też ze trzy frachtowce - dorzucił inny krasnolud.

- Nie będzie żaden problem - mruknął Ein, uśmiechając się lekko. - A bezpieczeństwo... I mnie ów Alenharst był jak czyrak na tyłku. I ja myślałem, że trzeba się go pozbyć. No i...

Pokoik, w którym siedzieli, szarzał narkotycznym dymem. Siwe smugi układały się wzorzyście - to rozgałęziając się, to łącząc. Elipsoidalne, ciężkosine obłoki falowały leniwym rytmem, tańcząc kataleptycznie w powietrzu zwiły się w płynne, niedefiniowalne formy. Naraz cały ten ciężki opar zadrzał, zawirował i przerzedł. Z dymu wyłonił się wysoki, bladej mężczyzna odziany w granatowomroczną sutannę. Stał za wysokim krzesłem, na którym siedział Hagald, a krasnoludy, gdyby je spytano, nie umiałyby odpowiedzieć, czy był tam cały czas, czy też zjawił się przed mgnieniem oka. W

komnacie zrobiło się dziwnie chłodno. Ein Hagald nawet się nie odwrócił. Tylko uważny obserwator mógłby dostrzec w jego twarzy, starannie skrywany, ślad strachu. Krasnoludy były jednak zbyt zdumione, by spostrzec w ogóle cokolwiek.

- Panowie pozwolą- rzekł arystokrata - że wypełnię powinność gospodarza i przedstawię. Oto mój doradca i pomocnik, doktor Jarva Grithe. Zechciejcie go wysłuchać, a zrozumiecie, że niebawem problemy z nadgorliwymi, królewskimi służbistami odejdą w przeszłość. Nieodwołalnie.

Wieża ciemnoszara, smukła, a zarazem krzepka, stanowiła najdalej wysuniętą w stronę morza część twierdzy, strzegącej portu i miasta Lukka. Samotna, stojąca na skalistym cyplu, połączona była z resztą fortyfikacji wykutym w skale tunelem. Właściwa twierdza wsunięta była głębiej w ląd, oddzielając zabudowania portowe od dzielnic miejskich, otoczonych wysokim murem. Skaliste ramię lądu, wcinając się w wodę, tworzyło cichą zatoczkę, spokojną przystań, o co w niespokojnych rejonach mórz północy było nadzwyczaj trudno. Tenże Spokój stanowił najważniejszy atut Lukki. Twierdza powstała natomiast, by chronić port przed ludźmi. Bo ci w owych rejonach daleko bardziej byli niebezpieczni niż jakiegokolwiek sztormy.

Przesmyk, przy którym baszta pełniła nieustającą wartę, był szeroki na ćwierć mili. Drugi jego brzeg stanowiła skalna, czarna grań. Za nią zaczynały się góry, ciągnące się hen, daleko na wschód. Lukka była jedyną w tym rejonie, oficjalną bramą prowadzącą w głąb lądu. A Królestwo Północne było krainą bogatą i wartą odwiedzenia.

Alenharst, stojąc na szczycie wieży obok kilku katapult wymierzonych w wody cieśniny, spoglądał w morze. Ogrom ciemnogrnatowej wody kipiał, drżał i falował, smagany biczami wiatru. Królewski namiestnik pośród pianowych balwanów szukał wzrokiem małego, białego kwadratu - żagla okrętu wysłanego z listem do króla. Trzymając się blisko brzegu, pomyślał Alenharst, widząc zarys statku tuż przy linii horyzontu, na zachodzie. Powinienem płynąć razem z nimi. Powinienem być teraz przy królu, a nie siedzieć w tym przeżartym lapówkami i rdzaporciszczu, kłął pod nosem, wiedząc, że to niemożliwe. Wiedząc, że król mu ufa, a w Luce o kogoś wiernego królowi trudniej niż o dziczyznę. Dla jasności - on, jakby nie było namiestnik, od pół roku nie jadł innego mięsa niż rybie.

Otrząsnąć się po tym, co monarcha pisał w swych pierwszych od kilku miesięcy listach nie było łatwo. Wielka wojna na zachodzie rozgorzała na dobre. Iranion rzucił przeciwko starym monarchiom wszystkie swe siły. I vice versa. Krew lała się potokami. To jedna, to znów druga strona brała górę, przeprowadzając ofensywę tylko po to, by po kilku tygodniach zostać wypartym przez przeciwnika. W kraju wśród możnych narastał bunt. Jednocześnie na jesieni dziwna zaraza

zdziętkowała ludność Beliadoru i zachodnich prowincji królestwa. Pośród ludu poczynano szeptać o rychłym świata końcu, dniach kary i cierpienia. Rojno aż było od kaznodziejów i proroków głoszących zagładę, w czym król Ogmund upatrywał działań służb tajnych Iranionu. Nikt jednak takich tłumaczeń słuchać nie chciał, bowiem kula gorejąca pojawiła się na niebie, pozostając tam przez czas jakiś i dodatkowy asumpt dając do najróżniejszych spekulacji i czamo-widztw.

Nowe religie powstawały jedna po drugiej, a każda za swego przeciwnika i ucieleśnienie zła miała państwo. Jakby mało było nieszczęść, rozsypało się Stowarzyszenie Magów, które spajało świat przez tysiąclecia, żywota dokonując w mękach, wojnach czarnoksięskich i krwi. Mag naczelny kapituły beliadorskiej, Morgan, wraz z poplecznikami zniknął bez wieści, połowa czarodziejów zginęła, a z tych największych stare monarchie przeciw Iranionowi i baronowi Thetra wspiera tylko dwoje. Na domiar złego najlepszy z królewskich doradców zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. I rzecz najgorsza - nicopodal Beliadoru w czasie zarazy, Jakoweś zle moce otchłań rozwarły, z której potwory różnych maści wychodzą, cechę wspólną tylko w rozmilowaniu się we krwi ludzkiej mając".

Jedyną nadzieją na powrót do normalności zdawało się być wygranie wojny na co, i tu pojawiała się iskierka optymizmu, była wcale spora szansa. Armie sprzymierzonych wygrały kilka bitew z rządu i odcięły Iranion od jego kopalń i kuźni. Niedostatek uzbrojenia, pisał Ogmund, może okazać się decydujący, w czasie kiedy armie starych monarchii przeważają liczebnie.

Kolejny list zawierał informacje bezpośrednio użyteczne Alenharstowi, a dotyczył ruchów politycznych na Wyspach Borealu. Informatorzy królewscy przynosili wieści o walkach między ludami wyspiarskimi i silnych tendencjach zjednoczeniowych. Rosła szybko potęga jednego z władców pirackich, Odheyne, który, jak pisał król, podbił neutralne dotąd i nieagresywne księstwo Bracz, położone na wyspie o tej samej nazwie. W owym podboju miał, rzekomo, pomóc młodszy z książąt brackich, Charsy, który uzyskał nad księstwem władanym wcześniej przez swego brata, namiestnictwo. Informatorzy zwracali uwagę na przeludnienie wśród wyspiarskich ludów i plotki o szykującej się wielkiej wojnie. W świetle tych wieści monarcha nakazywał Alenharstowi mieć szczególne baczenie na wybrzeże, jak również na krasnoludów, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieli podjąć próbę wyrabiania sobie dostępu do morza.

Krew rycerza oddanego bezgranicznie królowi burzyła się, gdy czytał takie wieści, lecz rozum służbisty i państwowca nie pozwalał rzucić placówki i pognać za wojenną sławą. Niemniej jednak Alenharst od przybycia kuriera chodził wściekły. I prawie nie rozstawał się z butelką.

Nawet nie usłyszał, gdy podszedł do niego Rippen, jego zastępca i jedyny w Luce prawdziwy druh.

- Nie dogonisz ich. Zostaw... - mruknął do królewskiego namiestnika. - Pora wracać do żywych, Alenharst. I do trzeźwych - dodał, strącając z muru na wpół opróżnioną flaszkę.

Alenharst skrzywił się, ale nie zaprotestował. Ociężale obrócił się twarzą do przybyłego.

- Jakie tym razem cholerstwo niesiesz? - spytał. - Krasnoludy znowu coś knują? Kogoś z moich, a raczej królewskich ubili? Czy może Hagald jakiego urzędasa łapówką kupił i teraz trza się go pozbyć skutecznie acz dyskretnie, by państwowego autorytetu i nieposzlakowanej opinii, hę, hę, nie ruszyć. Śledziowie piekielne! W tym zapierdziejwie król i państwo to słowa, którymi rzyć można utrzcć, a w każdej karczmie rehot ino by wywołały, ot co... No, co tam masz, Rippen? A gadaj szybko, bo kaca mam cholernego i suszy mnie jak diabli!

- Wygadaleś - się, wyżalileś? Więc słuchaj nowiny, boś nie zgadł. A odsuń się lepiej od blanek, bo jeszcze spadniesz. Hagaldowie umyślnego przysłali.

- Ze skargą na cla czy z protestem, że rajcy co robić nie mają, bom od pół roku na rady nie przyszedł, a beze mnie żadnej decyzji pojąć im nie wolno? A odpisz im, by mnie w dupę...

- Otóż nie! Powoli, imć namiestniku. Nie przystoi to najwyższemu dostojnikowi Lukki. A za niedługo będziesz musiał się w owe wielkopańskie piórka przystroić, Alenharst. Czy chcesz tego, czy nie.

- Co ty, do czorta, bredzisz, Rippen? Ja się upilem, nie ty... Jestem wojownikiem, żołnierzem, nie arystokratą.

- Przede wszystkim reprezentujesz króla. Komu jak komu, ale tobie tego przypominać nie trzeba. I jak prawdziwy królewski dostojnik będziesz się nosił. Już za trzy dni. Bowiem Ein Hagald, najbogatszy człowiek w mieście, ucztę w swej rezydencji wyprawia i pokornie cię prosi, byś swą obecnością ją zaszczyścić raczył.

- Kpisz? Pomady i pudry. Banda zniewieściałych chłopcojebców! W dodatku przekupnych i żądnych władzy. Moja noga tam nie postanie. Coś jeszcze?

- Chwilkę, tak tego zostawić nie można. Wiem, że po gorzałce to niełatwe, ale spróbuj pomyśleć. Wojna na zachodzie, na pomocy piraci szaleją, od wschodu krasnoludy coraz bardziej pożądliwie na wybrzeże spozierają... Upadek Lukki to również upadek Hagaldów. To egoiści, więcej o swoich odciskach myślą, niżli o państwie, ale i im się najazd nie uśmiecha. Spróbowałbyś się z nimi ułożyć, to jeszcze by osobny, dobrze uzbrojony regiment zaciężnych wystawili z własnej kiesy.

- Ułożyć się z dziewczką mogę, nie z tymi perukarzami! A co do ich pieniędzy, jak myślisz, skąd je wzięli? Kontrabandą gorzej niż krasnoludy. Byłem miał dowód, ich głowy by spadły.

- Możliwe, możliwe, ale handel handlem, a gardło gardlem. Trzeba im pokazać, że i o ich życie tu idzie. Mają kapitał, mają koneksje, a z tego, co mnie doszło, są współdziałowcami kilku krasnoludzkich kantorów i

spólek morskich. Mogliby skutecznie krasnalom głupie myśli ze lba wyperswadować. A i u mieszczan mir znaczny mają.

- Prawda - przyznał niechętnie Alenharst. - Wszystko prawda, coś rzekł. Ale mierzi mnie, że z nimi mam się pospolitować, ucztować przy jednym stole. - Zmiał w ustach przekleństwo. - Szlag mnie trafia. Lecz nie o mnie tu idzie, a o Królestwo. O służbę. Srał pies, pójdę. Ale pierwej każ konie siodłać i ze cztery setki naszych zaopatrzyć przyzwoicie w jadlo, namioty i kozuchy. Trzeba góry objechać, szlaki przemysłowe obstawić, zatoczki zabezpieczyć. Bo jeszcze się któremu uroi, że jak mnie nie ma na podjeździe, to mogą harcować do woli. Przeklęte pogranicze. No, ale z nudów to umrzeć nie umrę.

Fale uderzały w skaliste wybrzeże, tworząc pieniste pióropusze. Niebo zgranatowało burzowymi chmurami. Z północy wiał dziki, potępieńczy wiatr. Nacierał sztorm.

Szaruga bawiła się małą łódką niczym niesforne dziecko, chcąc zniszczyć dopiero co otrzymaną zabawkę. Co i rusz wiatr wlewał kolejne litry morza do trzęsącej się i pękającej lupiny. Złamany maszt przykrył przód pokładu żaglem. Na rufie czarnowłosa, postawna kobieta tuliła do siebie czteroletniego chłopca. Chudy, brodaty mężczyzna klęczał przed nimi.

- Wybaw nas - szeptał. - Ty Który Jesteś. Ty, w którym nadzieję pokładamy i w czas pokoju, i w czas zawiei, który władasz gwiazdami, ziemią, wodą i stworzeniem wszelkim. Przebac, cośmy złego uczynili i wybaw z ciężkiej godziny.

- Rób coś! - wrzasnęła niewiasta. - Tylko modlić się potrafisz?

Mężczyzna odwrócił głowę.

- Nie tylko - odparł, po czym spojrział poza swą małżonkę na tnący fale okręt Odheyna zbliżający się nieubłagane. Śmierć nadchodziła szybko, z wielu stron.

- Nie tylko. Ale co nam prócz tego pozostało?

Błysk.

Komnatę zalewa biel. Seledynowe ściany polyskują bladą poświatą; każda z milionów ścian, każde z milionów drzwi. Mrok, zalegający w komnacie skurczył się, cofnął i przytłoczony przycupnął w kącie pokoju.

Kroki. Ciche, delikatne... Jedna ze ścian zmienia się w czystą biel, w czysty blask. Mrok topnieje.

Wrota otwierają się z szumem. Niewielka komnata rośnie, pęcznieje, rozszerza się i puchnie niczym balon. Morze - oszalałe, potargane sztormem - wpada do środka. Wyje dziki, pomocny wiatr. Mała łódź ze złamanym żaglem wpada z hukiem do komnaty. Na pokładzie są ludzie. Troje.

Mrok, gdyby to ujrzał, srodze by się zatrwożył. Ale ciemność zestrachana, skulona w kącie boi się odwrócić... Czego się lęka? Nie wie, boi się jeszcze bardziej.

- Co to? - pyta dziecko drżąco. - Czy jesteśmy pod wodą?

- Nie, Jesza. Nie lękaj się - odpowiada inny głos.

- Wujku, dlaczego tu nie ma gwiazd? Dlaczego? Gdzie my...

- Nie wiem, mały... Na Boga, nie wiem...

Następne spośród milionów drzwi otwierają się i łódka niknie.

Komnata wraca do pierwotnych rozmiarów. Blask powoli słabnie. Nieubłagane echo cały czas powtarza odgłos tajemniczych kroków.

Jaskrawy blask wybuchł w głowie Jarvy Grithe. Nagły ból i strach rozlały się po całym jego ciele. Z nosa trysnęła krew. Rozdygotany, rozbudzony wstał z łóżka.

- Co to było? - szepnął.

Kolejne pół godziny spędził, spacerując w ciemnościach po swoim pokoju. Gdy już uspokoił się na tyle, by móc zasnąć, przyszedł Svaroh. Przekaz był słaby, przytłumiony. Jarva nie widział twarzy, słyszał tylko głos, chwytal myśli. Mistrz Svaroh był wściekły, rozjuszony. Ale zarazem bezsilny.

- Umknęli! Dzieciak Weslava, brackie szezzenie umknęło. Razem z Sobmirem i jego dziwką. Zmierzali w kierunku kontynentu. Teraz są twoim utrapieniem.

- Jak? - spytał Jarva.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Potem napłynęła fala wściekłości przemieszanej z lękiem:

- Nie pojmuję tego. Przeszli przez Komnatę. Nie mam pojęcia, jak. Ale przeszli. Jarvo, bądź uważny, pilnuj wybrzeża. I kontynuuj swą misję. Liczę na ciebie.

- Panie, kiedy przybędziesz?

- Wkrótce. Odheyn gromadzi siły. Już wkrótce.

- To ostatnia zatoczka, której jeszcze nie obstawiliśmy - rzekł Rippen do Alenharsta, wpatrując się w wąski, zasnuty ranną, eteryczną mgłą fiord. Skalne ściany owego morskiego przyczółka w głębi ładu były strome, szare i spadały prosto w morze. Wybrzeże było kamieniste, bezdrzewne. Las, w którym krył się Alenharstowy oddział zaczynał się dobre kilkaset kroków dalej.

- Sześćdziesięciu ludzi starczy - mruknął Alenharst. - Zostawimy im, na wszelki wypadek, dwie katapulty. To powinno załatwić sprawę piratów. A krasnale - namiestnik Lukki wydał pogardliwie wargi - musiałyby ich być ze dwie setki, by z naszymi mogli stawać. Ty, Henes - zwrócił się do jednego ze swych adiutantów - zostaniesz. Rozłokuj ludzi wśród drzew. Wystaw czujki. Zapasów masz na trzy tygodnie, ale za piętnaście dni przyślę zmienników. W ten czas postaw tu jakieś chaty. Niby wiosna idzie, ale ziab jeszcze, a i strażnicę przydałoby się tu założyć. Może i cieśłów kilku ci podeślę. Jakby co, kuriera pchnij. Psia krew, ale więcej. Łeb chce urwać. I te fale, huk jakby wieloryby się... ten tego.

Żołnierze zaśmiali się dziko, gromko.

- Strasznie ostatnio morze rankami niespokojne - przytaknął Henes. - Jakowyś to znak.

- Znak, nie znak, a nam pora jechać - wtrącił się Rippen. -Do Lukki więcej niż dziesięć mil. Nie zapominaj, że dzisiejszy wieczór spędzasz...

- Wiem, wiem, u Hagaldów. Aż mnie cholera trzęsie. Stokroć miłsze było mi objanie tyłka na szlaku przez ostatnie dwa dni. Salony, psia mać! No, ale cóż, jechać trzeba. Co robić, wiesz -rzucił do Henesa.

Kary rumak zatańczył na usianym kamieniami wybrzeżu. Dziesięciu jeźdźców - przyboczny oddział namiestnikowski -również zawróciło swoje wierzchowce. Alenharst krzyknął, popędzając swego konia.

Okrzyk namiestnika przeleciał po wodzie i odbiwszy się od ścian, pomknął w głąb fiordu. Wszystkim się zdawało że Alenharst jeszcze wola, a to echo niesło jego krzyk w kierunku morza.

W ciszy zapadłej nagle, niespodziewanie, unosił się niepokój. Alenharst stanął, spojrzal w stronę wygładzonej z nagła tafli wody. Błada mgła, nierozpraszana chwilowo przez wicher, nabrała gęstości, zbielała. Kilkudziesięciu wojowników wyczekująco wpatrywało się w białoszare obłoki. Czas przestał istnieć.

A potem zza zakrętu wypłynęła mała łódź. Prawdę rzekłszy, była to lupina, skorupa, niezdolna pomieścić więcej niż sześć osób. W dodatku owa szalupa poharatana była niemilosiernie. Pęknięcia i drzazgi widać było z daleka. Maszt był złamany, przykrywając przód pokładu szarym, pokaleczonym, podziurawionym żaglem, a mimo wszystko łódka powoli, bo powoli, ale płynęła do brzegu.

Pierwszy odzyskał głos Alenharst:

- Co to, do stu krasnoludzkich demonów, ma być? Czemu ten dziurawy orzech jeszcze nie pod wodą? Czary to, czy jakie inne kurestwo?

- Kurestwo - wyrwało się któremuś z wojów.

- Czort wie - bąknął inny.

- Możliwe - mruknął Rippen - bardzo możliwe, że on. Albo któraś z pirackich kohort.

- Nie ma co główkować i na siebie się oglądać. Widzicie, że do brzegu płynię. Miecze dobywać i za mną! - powiedział rozeźlony namiestnik, zeskakując z końskiego grzbietu.

Gdy tylko dno lupiny szurnęło o kamienie na brzegu zatoczki, dopadło do łodzi kilkunastu wojów z Alenharstem na czele. Małeńki stateczek bez trudu wyciągnięto na ląd. Na pokładzie, przy rufie, w sporej kaluży, leżały trzy osoby. Mężczyzna i kobieta w późnośrednim wieku. I dziecko, przytulone do kapoty brodacza, śpiące błogo, spokojnie.

Sobmir, były kanclerz i kaplan na dworze księcia brackiego Wesława, ocknął się, czując w głowie potworny, pulsujący ból. I strach. Wielki okręt flagowy Odheyna, burza, pioruny, i pomioty Svaroha - stada upiorów wyjących potępieńczo, które krążyły nad ich

łodzią. Fala wdzierała się do środka, deski trzeszczały... A potem ciemności, trwające tak długo, całą wieczność.

Wreszcie się skończyły. Sobmir nie otwierał oczu, lecz wiedział że jest jasno, całkiem jasno. Usłyszał nad sobą głosy. Początkowo były dla niego tylko niezrozumiałym belkotem, ale stopniowo zaczął wylawiać poszczególne słowa. W chwilę później rozumiał całe zdanie. Jakiś mocny głos, bynajmniej nie po bracku, a w imperialii, jak nazywano na wyspach język kontynentalny, rzekł:

- Żywi są jak nic, lecz wiele teraz mi nie rzekną, a podejrzenie im z gęb patrzy. Zabieram ich ze sobą do Lukki. Sobmir zemdlal ponownie.

Komnata była mroczna, ponura i zatęchła. Jak wszystkie komnaty lochów rozciągających się niczym podziemna pajęczyna pod basztą w Luccie. Dwie krótkie pochodnie, włożone w wiszące na ścianach metalowe koszyczki, zalewały pomieszczenie rudym światłem. Pod ścianą na cienkiej warstwie częściowo zgnilej słomy siedziała kobieta. Mały chłopiec tulił się do niej z przestachem, spoglądając na środek komnaty. Dwaj muskularni wartownicy trzymali chudego, brodatego mężczyznę slaniającego się ze zmęczenia. I z bólu.

Alenharst krążył po komnacie. W jego oczach błyskały gromy gniewu.

- Mówisz zatem, że przyplynałeś z wyspy Bracz, czyż nie? W owej skorupie, o ile cię dobrze rozumiałem? Twierdzisz, żeś jest kapłanem i uciekłeś przed prześladowaniami? Radzę po dobroci, pomyśl, nim odpowiesz!

- Tak, właśnie tak jest, jak rzekłeś.

- Cóż - syknął Alenharst. - Po dobroci nie chciałeś. No, to będzie po złości.

Silny, nie pierwszy już tego dnia, cios spadł na szczękę Sob-mira. Mężczyzna jęknął. Po raz setny przeklął w myślach swą sytuację. Ledwie uciekł, w niezrozumiałym zresztą dlań sposób, z jednej niewoli, to wdepnął w drugą. Zastanawiał się, jak wytłumaczyć coś, czego nie ogarniał sam. W dodatku musiał kluczyć, lawirować, klamać. Nie mógł przecież zdradzić, kim był Jesza.

- To, co mówię, winno starczyć ci za dowód tego, że nie lżę - wyseplenil. Rozbita ciosem warga krwawiła obficie. Tak jak poważniejsza rana, w okolicy brzucha. Czuł się podle, ale wiedział, że musi wytrwać. Dla Jeszy. I dla Prawdy. On i jego małżonka byli bodaj jedynymi wyznawcami Tego Który Jest pozostającymi przy życiu. Reszta starowiemych bądź to została zmuszona do konwersji przez Odheyna, bądź zajął się nimi Svaroh. Sobmir spuścił głowę. Potężny mag nie bez przyczyny nazywany był na wyspach "Morderczym".

Rozmyślenia przerwał kolejny cios i niecierpliwe pytanie:

- Daj dowód, żeś był zdolny przepłynąć z wyspy do Lukki. Daj dowód. Co mówisz o wojskach Odheyna, o jego flocie, o inwazji, brzmi prawdziwie, cholernie

prawdziwie, ale skąd wiem, żeś niejaki szpieg albo dywersant? Daj dowód, to wyjdiesz wolnym, a nie to będziecie siedzieli tutaj. Tak długo, jak uznam, że zagrozić mi nie możecie.

Kaplan niechętnie pokiwał głową. Rozumiał, że musi zbiec w głąb Czernokrainy, w głąb kontynentu, bo prędzej czy później Svaroh i Odheyn zjawią się, prowadząc flotyllę okrętów z żaglami koloru krwi i wojowników, którzy zaleją wybrzeże. Ale cóż miał powiedzieć?

- To cud - mruknął, bez przekonania. - Cud.

- Cud, mówisz... Ha, twój bóg musiałby być niezmiernie potężny. Silniejszy niż wszystkie bogi kontynentu. Ba, silniejszy niż czarodzieje z Rady Kapitulamej. Wybacz - Alenharst pogardliwie wyduł wargi - ale wykonywać będziesz musiał coś bardziej przekonującego. Tego rodzaju wymysłem zwięść się nie dam. Bóg go zbawił, to dopiero. W dupie ci się przewracało. Nie ma takich bogów. Ale wolisz klamać, będziesz siedział.

Drzwi się zamknęły. Wycieńczony Sobmir opadł na słomę obok żony i chłopca.

- Nie kłamałem - szepnął do siebie. - Jest taki Bóg. Jedyny.

Złe było z nią. Czula je przy sobie. Piękne, pociągające, chciała być przy nim. Miała nóż. Spojrzała w znajomą twarz odwiedzającą ją w każdym koszmarze. Czula ekscytację, niepohamowane pożądanie. Był tuż przy niej, szeptał czule słowa. Był wspaniały, ale zarazem odrażający, zły, NIEBEZPIECZNY. Na szczęście miała nóż. Jakiś głos usłuznic, niepostrzeżenie podpowiedział jej, co ma robić.

- Egis! Eecgis! Wstawaj. Znowu zasnął w środku dnia? Za dobrze ty się nocami bawisz, za dobrze - krzyczała chropowato gruba posługaczka, szturchając ramię dziewczyny. - Ale wstawaj, no już, już. Uczta się zbliża, a dzisiaj się nie wykręcisz. Wuj byłby gniewny. No, Egis, kąpiel czeka...

Szła długim, oświetlonym dwoma rzędami świec, korytarzem po miękkim, karmazynowym chodniku. Ściany zdobiły kosztowne, misterne gobeliny. Tu i ówdzie na podeście stało rzeźbione popiersie któregoś z Hagaldów. Hol szumiał tysiącem, tłumionych tylko nieco przez drzwi, rozmów.

Wysoki, ubrany z wykwinną prostotą mężczyzna prowadził ją, trzymając delikatnie za ramię. Nie lubiła go. To był jakiś cudzoziemiec, chyba wyspiarz, zaufany wujka. Dziewczyna zawsze uważała, że wygląda jakoś podejrzanie. Był taki chłodny. A nazywał się...

- Proszę, Egis. Zostań królową balu! - rzekł, otwierając drzwi.

- Dziękuję, Jarvo Grithe - odpowiedziała machinalnie.

Wesołe, frywolne dźwięki muzyki przebijały się przez wzmożony gwar. Stoły, zastawione rzędami półmisek, ugięłyby się pewnie pod ciężarem jadła, gdyby nie zrobiono ich z marmuru. Służący donosili co chwilę nowe danie, za każdym razem bardziej smakowite niż poprzednie. Góra frykasów rosła w zastraszającym tempie i to mimo wysiłków niektórych gości, którzy za punkt honoru postawili sobie opróżnić półmisek przed przyniesieniem następnego.

Rumiane indyki, kurczaki i przepiórki kusily oczy. Wtórowały im nadziewane kaczkę i faszerywane rolady cielece. Tu i ówdzie przycupnęło pieczone prosię, śmiejąc się do rozochocionych biesiadników jabłkiem w pysku. Kielbasa z samy wila się na pół-misach, plastry wędzonej szynki ciemną czerwienią przyciągały oczy i srebrne widełce. Smażone węgorze i halibuty szły w zawody z wybornymi pasztetami, auszpikami i galaretami. Wianuszki przekrojonych jajek plawily się w pikantnych polewach, białe wazy błyskały tłustymi okami brązowego sosu, a pieczeń z dzika nakazywała grać marsza najbardziej opornym kiskom.

Misy pstrzyły się dziesiątkami salatek i owoców, które w północnym klimacie Lukki nie mogły rosnać żadną miarą. Osobną sprawą było pieczywo. Każdy jego rodzaj miał tylko sobie przeznaczone, wiklinowe koszyczki. W tych największych był chleb biały, w mniejszych czarny, doprawiony ziołami i ziarnami soczewicy, a godził je wykwinny chleb makowy pieczony na rangardzką modłę. W bułkach walka o prymat jeszcze bardziej była zażarta; małe, chrupiące haverki starły się z pulchnymi arkonkami i puchatą, lekką bułką agandburdzką wyrabianą ze specjalnej, twardej pszenicy.

Najbogatszą reprezentację Hagaldowie zapewnili jednak trunkom. Napitki lekkie i ciężkie, piwa różnego sortu, wina wszelakiego rocznika, likiery niebiańskiej mocy lały się do szklanych kielichów, których nikt nie myślał zmywać, zatem posługacze dyskretnie, acz stale, przemierzali bawialnię sprząając potłuczone szkło i inne owoce zabaw arystokracji. Ein Hagald wykazał zbytek przezorności i myśląc o gościach-abstynentach kazał podać nawet kilka rodzajów soków. Niestety, żaden gość-abstynent się nie pojawił.

Blask tysięcy świec umieszczonych na wymyślnych kandelabrach aż bił w oczy, tak jak w oczy biła uroda zaproszonych na ucztę kobiet, kuszących każdym swym kształtem, każdą krągłością. Niektórzy, co bardziej rozweseleni, biesiadnicy płaśali przy wygrywanych przez muzyków, skocznych melodiach. Więcej i więcej osób kołysało się w nierządno trzeszczących pod ich ciężarem krzesłach, tu i tam slychać było zawadziackie śpiewy, ktoś zażarcie dyskutował.

Jego Wysokość Namiestnik Królewski, za którego zdrowie i obecność wychylono trzy pierwsze toasty, nie był jednak w nastroju do zabawy. Obojętnie przyjmował zalotne spojrzenia zdolne spopielić każdego na jego miejscu.

Ja z najmniejszą monetą cackać się muszę i pięć razy w ręce obracam, nim ją wydam. A tu proszę, ród

Hagaldów właśnie puszcza przez palce, lekko licząc, roczny żold tysiąca najemnych - myślał gniewnie. Dobrze, że choć trunki przednie. To trzeba pudemicom przyznać, na napitku się znają.

Kolejny raz urodna służka pochyliła się nad nim, napelniając kielich i wabiąc obfitym dekoltem. Kiedy indziej, Alenharst przygryzł wargę, kto wie... Gdyby czas był spokojniejszy...

- Gospodarzu, w waszym pałacu nawet posługaczki jak królowy się noszą i także wyglądają. Że o szlacheciankach nie wspomnę - powiedział do siedzącego obok Eina Hagalda. Ten ostatni zaśmiał się gromko.

- Racją, mości namiestniku. Widzę, że łatwiej się nam będzie porozumieć, niżlim pierwej przypuszczał. Same kwiatuszki tu się kręcą. Nic, tylko któryś z nich zerwać i zapylić, ha, ha... Zaręczam, nie odmówi żadna.

- Nie czas, panie Hagald, na miłości i igraszki. Prawdę powiedziawszy, dziwię się trochę, że teraz zdecydował się pan bal wyprawiać - rzekł wolno Alenharst. Nareszcie mógł się zająć tym, po co przyszedł.

- A co? - zapytał niewinnie Ein. - Pora na ucztę tak dobra, jak każda inna. A przyście wiosny uczyć trzeba. Jeszcze kilka sztormów, a potem sezon prawdziwy. Handel znów przez port ruszy, roboty w brud będzie. Rozumiesz, mości namiestniku, arystokratyczne pochodzenie arystokratycznym pochodzeniem, a interesy interesami.

- I ja nie myślę, by ucziwa - tu Alenharst przerwał i od-kaszlnął - by ucziwa praca kogokolwiek hańbiła i jakimkolwiek pochodzeniu uwłaczała. Ale w tym roku może nie być żadnych zysków - dokończył cicho, z lekka odsuwając się od stołu.

- Jakże to? - zapytał Hagald szeptem, nachylając się w stronę Alenharsta. - Wielmożny namiestniku, o czym mówisz?

- O Odheynie. Ów człowiek, cztery lata temu jeszcze zwykły szyper w kohordzie Leifa Gwałtownika, podporządkował sobie większość plemion zamieszkujących Wyspy Borealu. Ostatnio padło księstwo Braez.

- W istocie, coś slyszalem...

- To mnie akurat nie dziwi - przerwał Alenharst ostro. - Darujmy sobie aluzje i niedopowiedzenia. Wiele wiem o przemyśle broni w jedną i jantaru w drugą stronę. Choć, jak mniemam, ty, panie Hagald, wiesz więcej. Wszak to na tym odbudowała się fortuna waszej rodziny, czyż nie?

- Czyżby, namiestniku? Nie dawałbym wiary plotkom, jakie rozsiewają mali, zazdrośni ludzie. A poza tym... Widzisz, mości namiestniku, wiem co nieco o wymiarze sprawiedliwości, o sądach gromadzkich, o postępku sądowym... Choć ty, nie wątpię, wiesz o prawie Królestwa więcej. Wszak by sądzić, pierwej musisz mieć dowody, czyż nie?

- Prawda. Ale nie sądzić cię tu przyszedłem ani nawet oskarżać. Raczej ostrzec. Bo widzisz, panie Hagald, na wyspach zrobiło się ciut ciasno, ciut tłoczno.

Zimno i wietrznie było tam zawsze. Przecież u nas lepiej, a piraci uzbrojeni po zęby. Mniejsza o to, przez kogo. Tedy chciałbym poradzić. Nie szmuglujcie, panie Hagald, więcej mieczy na wyspy. Bo któryś 2 nich może za czas niedługi skrócić pana o głowę.

- ???

- Krótko mówiąc, Odheyn szykuje inwazję na kontynent. Nie wycieczkę dla łupów, nie kilkudrakkarową eskapadę. To będzie cała flotylla. Oni nie mają zamiaru wracać na wyspy. Nie myślisz chyba, że wyrzynając Lukkę, zrobią dla ciebie wyjątek. A siły królewskie mogą najazdowi nie sprostać.

- Co? To za co ja podatki płacę, kiedy nawet bezpieczeństwa zapewnić Królestwo nie potrafi!

- Kłopot w tym, że nie płacisz podatków. Podobnie jak dziesiątki innych rodzin. Poza tym przypominam, że mamy wojnę z Iranionem. Tedy i jako namiestnik prawa mam specjalne. Gdybym stwierdził, na ten przykład, że brak mi grosza, mógłbym zarządzić konfiskaty. Czy wsadzić do lochu. Żaden sąd mi teraz nie potrzebny. Radzę dobrze, zgódź się, panie Hagald, na moje warunki. Po dobroci.

- Warunki? - spytał arystokrata, coraz bardziej nerwowo. Czuł, że sytuacja wymyka mu się z rąk. Chociaż...

- Przydaloby się z dziesięć nowych katapult. Więcej strzał, trochę mieczy. Z pięciuset ludzi trzeba dokooptować. No i zapasy. Gdy będziemy dobrze zaopatrzeni, możemy się bronić i pół roku.

- I, oczywiście, ja miałbym to opłacać?

- Oczywiście - Alenharst uśmiechnął się szeroko. - Na odpowiedź czekam dwa dni. A teraz wybac, gospodarzu, ale obowiązki...

- Nie, nie! - zaprotestował energicznie arystokrata. - Mimo pewnych, hmm, rozbieżności między nami nie chciałbym, namiestniku, byś opuszczał nas tak szybko. Po cóż rezygnować z zabawy? A jeśli chodzi o twe żądania... Pomyślę nad nimi. W istocie, myśl o zajęciu Lukki przez barbarzyńców jest mi niemiła. A teraz napijmy się. Bo miody, podobnie jak kobiety, są pierwszego sortu.

W głosie Hagalda pobrzmiwał ugodowy ton. Alenharst poczuł, że wygrał. Kilka kieliszków wina jeszcze nikomu nie zaszkodziło, pomyślał.

- Zdrowie - zagrział wesolo. - Za Lukkę!

- Za Lukkę - zawtórował Ein Hagald, a za nim cała sala.

Następna porcja znakomitego, czerwonego trunku. Następna śliczna, dziewczęca twarz.

- Zdrowie!

- Za Lukkę!

- Za namiestnika!

- Zdrowie gospodarza!

- Za najpiękniejsze kobiety Królestwa!

- Za zgodę!

Brzęk tłuczonych kieliszków. Kaskada śmiechu. Porywający rytm muzyki. Świat zawirował. Zdrowie, zdrowie, zdrowie...

Egis po raz dziesiąty przeklęła swe roztargnienie.

Gdy tylko przekroczyła próg sali, poczuła się wspaniale. Z miejsca doskoczyło do niej kilku urodziwych młodzieńców i rozpoczęła się rywalizacja o jej względy. Tym zabawniejsza, że nie miała zamiaru ulegać któremukolwiek z konkurentów. Tego jednak zdradzać nie myślała, bowiem uwielbiała być adorowaną, pragnęła skupiać na sobie uwagę co bardziej urodziwych mężczyzn. Z reguły jej się to udawało.

Dodatkową satysfakcję sprawiały Egis jadowne, pełne zazdrości spojrzenia innych dziewcząt. Wiedziała, że przyćmiewa urodą wszystkie. Wiedziała, że niejeden zapalony alkoholem młodzian zostawił swą partnerkę, by przez chwilę cieszyć się jej towarzystwem. Kolejne tańce, kolejni partnerzy, potok komplementów.

Dobry nastrój minął w mgnieniu oka, kiedy dostrzegła brak bransolety podarowanej jej przez wujka. Misternej, zdobionej diamentami bransolety, która dla Egis, pochodzącej z niezbyt zamożnego odprysku rodziny Hagaldów, stanowiła dziewięć dziesiątych majątku. Gorączkowe poszukiwania nie przyniosły efektu. Przy świetle świec trudno było cokolwiek dostrzec w płataninie roztańczonych nóg. Egis wściekła na wszystko i wszystkich skierowała się do stołu. Chciała usiąść, uspokoić się. I napić.

- Przepraszam, czy to panienki? - Głęboki, przyjemny głos przywrócił ją światu, wyrrywając z natrętnych rozmyślań.

Obróciła się szybko, z nadzieją, która na nowo pojawiła się w jej sercu. I rzeczywiście. Bransoleta, nawet nie drażnięta, zabłysła dziesiątką diamentów w świetle kandelabru wiszącego nad głowami tańczących. A potem spojrzała na swego dobroczyńcę.

Fala zimna i gorąca rozlała się po jej ciele jak rzeka podczas powodzi. Serce zalomotało głośniejsze i szybciej niż orkiestrowe bębny. Dziewczyna zarumieniała się i zachwiała - lekko zakręciło się jej w głowie.

- Dzięk... dzięk... dziękuję - wyjąkała.

- Pora na mnie - stwierdził Alenharst, wstając z pewnym trudem od stołu. Alkohol szumiał w głowie całkiem mocno, a namiestnik wiedział, kiedy przestać. Przyszedł na ucztę, by reprezentować Królestwo, a nie ucztować ze swym, do niedawna największym, przeciwnikiem.

- Jeszcze wina? - zapytała czarującym szeptem posługaczka. Dziewczyna była młoda, bardzo atrakcyjna. I wpatrywała się w Alenharstajaka w obraz.

- Nie tym razem - odparł, starając się, by dziewczyna zrozumiała, że i on niechętnie ją zostawia. - Obowiązki.

- Ano, obowiązki! - niespodziewanie przyszedł mu w sukurs Ein Hagald. - Zatrzymywać cię dłużej nie będziemy, ale, mam nadzieję, zjawisz się jeszcze, mości namiestniku, w moim domu nie raz.

- Zależy to tylko od ciebie - powiedział stanowczo Alenharst. - Tylko i wyłącznie od tego, co zadecydujesz. Bywaj, Einie Hagaldzie.

To rzekłszy i skłoniwszy się z przesadną gracją, namiestnik Północnej Marchii odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia. Brnął przez wielobarwny, rozbawiony tłum, który falował w rytm skocznych piosnek. Szedł ostrożnie, nie chcąc pokazać, że lekko kręci mu się w głowie. Skala przyjęcia robiła wrażenie. A poza tym to wino... Nic więc dziwnego, że namiestnik każdy krok stawiał z rozmysłem, spoglądając uważnie pod stopy.

Niespodziewanie nogi odmówiły posłuszeństwa, zupełnie jakby ktoś związał je niewidzialnym powrozem. Alenharst poczuł, jak traci równowagę. By nie upaść, wsparł się o grubą, marmurową kolumnę. Cholera - zaklął - nie jestem aż tak pijany. Ze złością spojrzał w dół.

U podstawy filaru lśniła wyrafinowana, złota bransoleta inkrustowana diamentami. Pierwszą myślą było, że Hagald w zawołanej formie wręcza mu łapówkę. Po chwili doszedł do wniosku, że to bzdura. Powoli wariując, pomyślał. Podniósł klejnot i przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Skomplikowane ścieżki diamentów układały się w przenikające się nawzajem okręgi, na tle mozaiki małych, precyzyjnych, złotych ogniów. Namiestnikowi przyszło do głowy, że klejnot zgubiła jakaś arystokratka. Naraz poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Odwrócił się gwałtownie. O krok od niego stał wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany oszczędnie, lecz wykwintnie w ciemne szaty. Błada twarz nie wyrażała niczego. Alenharst, choć wiedział, że zostali sobie przedstawieni, nie mógł przywołać w pamięci imienia tego człowieka. By pokryć zmieszanie, namiestnik odezwał się szybko:

- Znalazłem to na podłodze. Wiesz może panie, do której z niewiast ów klejnot należy?

- Oczywiście - odparł beznamiętnie zapytany. - To bransoleta panienki Egis, która stoi o tam. Najpewniej odpięła się podczas tańca. Jeśli pan jej ją odda, zaskarbi sobie pan, namiestniku, względy tej uroczej panny, bo owa bransoletka to prezent. Bardzo cenny.

Alenharst spojrzał w stronę dziewczyny wskazanej przez rozmówcę. Stała pośród tańczących, tyłem do niego i wpatrywała się w podłogę. Krucze włosy przycięte dwa cale nad barkami odsłaniały białą, smukłą szyję. Na jednym z nagich ramion rysował się mały tatuaż. Czarna, długa sukienka podkreślała znakomitą figurę dziewczyny, a głębokie rozcięcia na bokach pozwalały podziwiać przy każdym ruchu niebywale smukłe i proste nogi. Alenharst zbliżył się do Egis i niepewnie zagadał, trzymając w ręku bransoletę.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała z wdzięcznością na młodego namiestnika.

Zielony ocean, czający się w jej głębokim spojrzeniu, pochłonął go bez reszty. Poczuł, jak słowa więzną w gardle, starannie przygotowane zdanie rozsypało się w niezboną układankę wyrazów, z której żadną miarą nie można było sklecić niczego

sensownego. Alenharst w chwilowym przypływie świadomości pojął, że zaczerwienił się jak zwykły sztubak, co dodatkowo sprawiło go w zakłopotanie. Krew wrzała w żyłach. Poczul... Prawdę rzekłszy sam nie rozumiał, co to było. Chciał uciekać, a zarazem nie mógł. Stał na środku sali pośród tańczących i wpatrywał się w Egis, nie mogąc wykrztusić słowa.

Po chwili długiej jak cała wieczność, w której, jak mu się zdawało, muzyka ucichła, ludzie znieruchomieli, a jego serce przestało bić, dziewczyna odezwała się. Słabe "dziękuję" ledwie doszło do namiestnikowych uszu, ale gdy już tam trafiło, grzmot tych kilku dźwięków o mało nie rozerwał jego rozognionej głowy. W następnej sekundzie zrozumiał, że nie ma na co liczyć. Dziewczyna była piękna. Po prostu. Wszelkie inne określenia, elaboraty, eufemizmy, porównania, komplementy i hiperbole mogły jedynie zmać i znieważać obraz ideału. Bo żadne słowa nie były odpowiednie, by go opisać. A on? Nicokrzesany, wielki, nieproporcjonalnie zbudowany...

W mgnieniu oka Alenharst po tysiącokroć przeklął brak obycia w towarzystwie. Nieskończenie długi szereg wad stanął przed oczyma namiestnika. Poczul, że jest bezwartościowy, tępy jak kamienny topór i tak samo brak mu oglady. Gdy już chciał umknąć, kryjąc się w tłumie, dotarło do niego, że Egis coś mówi.

- ... a do tej chwili myślałam, że dziś pech mnie prześladowe. Jeszcze raz dziękuję, panie namiestniku. Naprawdę nie wiem, jak mam się odwdziżyć. - Tu głos dziewczyny załamał się.

- Starczy ten przepiękny uśmiech, którym mnie, pani, obdarzasz - odparł. Czy mu się zdawało, czy na policzku dziewczyny wykwitł rumieniec?

- Chciałbym też nadrobić karygodne zaniedbanie - ciągnął trochę ośmielony. - Wszak nie przedstawiono nas sobie. Alenharst, namiestnik Północnej Marchii.

- Mam na imię Egis, Ein Hagald to mój wuj. Z pana, namiestniku, postać głośna; ale przyznam, że to, co mówią nie dorównuje choć w połowie prawdzie - rzekła, odzyskując rezon.

- Skąd, o pani...

- Proszę - szepnęła. - Imię starczy.

- Do... dobrze, Egis. Skąd zatem wiesz, jaki jestem? Dopiero mnie poznałaś.

- Zatem poznajmy się bliżej - zaproponowała, uśmiechając się zalotnie i idąc w kierunku stołu. Pojęła, że jej urok działa także na niego. Jakże łatwo mogłaby go zwodzić. Uwielbiała potwierdzać w ten sposób swą kobiecość. Każdego mężczyznę mogłaby doprowadzić do białej gorączki i momentalnie rzucić. Każdego, z wyjątkiem Alenharsta.

- Zatańczysz, Egis? - szepnęła.

- Czy mogłabym odmówić tobie?

Świat odszedł w niepamięć, w nicosć, byli tylko oni, blisko, blisko...

Nachylił się do niej, by wdychać jej zapach, by dotknąć jedwabistych włosów, by choć musnąć aksamitną skórę dziewczyny.

Nie cofnęła głowy.

- Chodź - ponagliła go. Szli wąskim ciemnym krużgankiem, okalającym mały wirydarz w rezydencji Hagaldów. Egis siadła na kamieniu, tuż przy oczku wodnym. Cały czas trzymała Alenharsta za rękę.

- Trochę tu chłodno, bo dach jest ze szkła, ale ma to swoje zalety. Nikt tutaj nie zagląda o tej porze roku - powiedziała cicho.

- Słuchaj Egis, to szaleństwo - zaprotestował. - Z tego tylko ból i mnie, i tobie. Przecież Ein tylko patrzy, jakby mnie utracić. Nienawidzi mnie prawie tak, jak ja jego.

- Mężczyźni zawsze myślą to, co naprawdę ważne z blahostkami. Poza tym ja to nie Ein, mój drogi... A teraz chodź do mnie i przestań mówić o glupstwach!

Przestał.

- Za czysty szlak! - krzyknął Ein Hagald, wstając i wznosząc pękaty kielich, napelnięny po brzegi wyborym winem.

Kilkunastu współbiedniaków zgodnie przechyliło swoje. Zajmowana przez nich salka była mała, oddzielona od bawialni korytarzem, o którym wiedzieli nieliczni. Ci najbardziej zaufani, czyli synowie, brat i siostrzeńcy Eina, a także kilku rajców miejskich, pozostających w zażyłości z Hagaldami od lat.

W owym towarzystwie znalazło się również miejsce dla niewiasty. Karina Hagald, siostra Eina, była osobą pękata, niewysoką. Policzki i nos zaczerwieniła wypita gorzalka, a urągająca wszelkim gustom suknią odsłaniała, grube niczym maszty okrętowe, tyle że bynajmniej nie tak długie i smukłe, nogi. Skryte w poduszkach policzków oczy były jednak zaskakująco bystre i inteligentne, a wyzywające spojrzenie mówiło: i tak jestem lepsza niż większość tej zgrai. Ein, w duchu, zgadzał się z tym, stąd obecność Kariny na tajnych naradach. Jak nikt potrafiła trzymać się tematu, umiała załagodzić każdą klótnię, a gdy nie nikomu do głowy nie przychodziło, ona sypała pomysłami, jak z ciężkiej, wypełnionej do granic sakiewki, z którą się nie rozstawiała.

Tego dnia jednak nikt nie potrzebował pomysowości siostry Eina Hagalda. Sprawy zaczęły się układać nadzwyczaj pomyslnie. Na wszystkich frontach. Jarva Grithe, cichy ambasador Od-heyna, obniżył cenę, za jaką miała być wykupiona Lukka. Powiodło się przejęcie filii Banku Agandburskiego po cenie wręcz śmiesznej. Podobnie było z trzema obciążonymi hipoteką frachtowcami, których dotychczasowi właściciele zniknęli w niewyjaśniony sposób. Bank Portowy, którego prezesem był Armin Dietremena Hagald, natychmiast zgodził się na wykup. I ostatni, największy sukces...

- Czas ślać umyślnego do krasnoludów - zawołał Ein. Gdy stanął przed nim niewysoki chłopak, powiedział: - Niech karły szykują wozy. Ja dam statki. Za dziesięć dni, na dwie godziny przed brzaskiem, frachtowce czekać będą po wschodniej stronie Fiordu Złamanych Masztów. I rzeknij im, a owo zapamiętaj

dobrze, że namiestnikiem na razie przejmować się nie muszą. Bo pan namiestnik ma co robić w nocy.

Wszyscy w sali ryknęli gromkim śmiechem.

Dziesiątki świec porozstawianych w kręgi na golej posadzce rozświetlało małą izbę. Ściany były przystrojone tylko w gobeliny przedstawiające wielkiego węża na czerwonym tle, za każdym razem o innym obliczu i w innej pozycji. Komnata nie miała w ogóle okien.

Pośrodku kręgów klęczał wysoki mężczyzna. Oczy miał przymknięte, wargi lekko drżały, zdradzając napięcie u tego, zwykle bardzo opanowanego, człowieka.

Płomienie świec kolebały się ciężko, wolno rozmywając się pod spuszczonej rzesami, zlewając w jedną pomarańczową plamę, w jeden wielki płomień.

Twarz uformowała się z płomieni tyleż gwałtownie co niepostrzeżenie. Ogniste, rozdygotane oblicze zwróciło się w kierunku klęczącego. Wargi poruszyły się bezszcześnie, lecz w głowie mężczyzny słowa zabrzmiały potężnie, nieczym odgłos gromu, nieczym pomruk nadchodzącej burzy:

- Witaj, Jarvo! Unieś umysł w płomienie przejścia. Wzywa cię Pan Jadów!

Zadał wicher. Świece naraz rozbłysły jasnym, intensywnym ogniem, lecz po chwili poczęły blednąć, przygasać, maleć. Izdebkę ogarnął mrok. Nastąpiła cisza, absolutny spokój zapanował w przestrzeni, w jakiej znalazł się Jarva. Spostrzegł, że nie oddycha, ale też nie czuł takiej potrzeby. Mimowolnie zadrżał. Choć nie był to jego pierwszy raz w Komnacie, nie potrafił się oswoić z własnymi reakcjami. Jarva Grithe klęczał przed wysoką, utkaną z płomieni postacią.

- Wieczne jest imię Pana Jadów, a potęgą jego nie ma kresu! - wyszeptał. - Witaj możny Svarohu. Czym zasłużyłem na łaskę wezwania?

- Pora, byś usłyszał nowiny. Mam też dla ciebie nowe zadanie, które będziesz musiał wypełniać równoległe z poprzednim.

- Rozkazuj.

- Wpierw zobaczysz, jak wygląda teraz Czernokreina. Ogień trwającej od lat wojny znów rozgorzały nad światem, stąd moja dzisiejsza postać. Nadchodzi zmiana. Wojna, więc zmiana. Rzeczłbyś, nie zaskakującego, lecz niewielu przypuszcza, jak głęboka owa przemiana będzie. Zresztą patrz.

Svaroh machnął ręką w prawo. Ciemność uformowała się w ścianę, która rozbłysła płomieniami. Pożar trawił ogromne, starożytne miasto. Chmura ciężkiego dymu przysłaniała, wiszące nisko nad horyzontem, krwistoczerwone słońce.

Kolejny obraz. Dolina pełna wojska. Bitwa. Linia frontu ciągnie się wzdłuż rzeki, przez dobrych kilka mil. Przeważają jedni, to znów dludzy, końca walki jednak nie widać. Czasem jakiemś oddziałowi uda się wejść na brzeg, lecz większość wojów walczy, brocząc w wodzie. W wodę po kolei upadają też sztandary:

Rangardu, Boregandu, Królestwa Północnego, Westii, Iranionu, Albii. A woda jest krwawopurpurowa.

Drugi obraz. Kilkanaście wysokich postaci stoi na szczycie góry. Ciemne sylwetki odcinają się na tle ogromnego księżyca. Nagle rozlega się wycie wilków, błyskawice spadają na wzgórze jedna po drugiej. Zielone, seledynowe i karmazynowe pioruny -tak zwane ramiona magii - tną powietrze i ciała zgromadzonych na szczycie.

Ostatnia migawka. Sporą, dobrze wyekwipowaną armia stoi wśród pożółkłych traw. Nad głowami wojów łopoczą białe sztandary. Feldmarszałek estyjski, Lugós Allite, składa swą buławę i estyjski sztandar pod nogi śniadego mężczyzny odzianego, w porównaniu z feldmarszałkiem, jak nędzarz. Armia zwycięzców jest dwakroć mniejsza i wielokrotnie gorzej wyekwipowana niż Estyjczycy. Jednak to na twarzy Allite, niezrównanego dowódcy, widać ulgę.

Ciemność. Wizje znikają.

- To, co ujrzalesz dzieje się w tej chwili. Płonie starożytne Vilerood, stolica Iranionu, największe i najludniejsze miasto Czernokreiny. W wielkiej bitwie nad rzeką Thag, trwającej już siódmy dzień, zginęli władcy głównych mocarstw naszego świata. Niewielu zostawiło potomków, a i ci w przeważającej części biorą udział w wojnie. Dodatkowo na każdy pusty stolec szykuje się co najmniej po pięćdziesiąt rodzin możnych, którzy przezornie od wojny się wykręcali. Niektórzy, nie czekając na dalsze wypadki, wydzierają dla siebie kawałek kraju, czyniąc go osobnym władztwem. A armia? Przy życiu zostali głównie pospolitniacy z powszechnego werbunku. Doborowych oddziałów nie znajdziesz, gryzą ziemię. Dotąd zginęło ponad milion zbrojnych, uważasz? Tymczasem na wyekwipowanie armii poszła większa część zapasów żywności i rezerw pieniężnych, a na pola w tym roku niewielu chłopów wyjdzie. Głód niebawem zapuka do każdych drzwi. Handel praktycznie zamarł, trakty zajęte przez kupy zbójckie i chłopskich desperatów już na przednówku nie mających co do garnca włożyć. A miasta bez handlu umrą. To wszystko zdziesiątkuje stare królestwa, tym bardziej że od stuleci z rozmnażaniem tam coraz gorzej. Tymczasem budzą się ludy dzikie, biedne, głodne, ale liczne. Takie jak nasz, takie jak koczownicy z Pół. Jak wielorybnicy z Łysych Fiordów, foczarze z Wybrzeża Długiego, czy korsarze z Army, jak plemiona Ogst, Torrian, Haderath. Mieszkańcy wysp Gevem i Landria, nim jeszcze zostali poddani Odheyna, szykowali się skryć do inwazji. Nadszedł nasz czas. Widziałeś armię estyjską zmuszoną do holdu władcy jednego z plemion koczowniczych, Abgezhowi. Taki sam los spotka Królestwo Pomocne, kiedy nadejdziemy w pełnej sile. Nikt go nie obroni. Bo padł również ostatni, najważniejszy filar starego porządku, wszechpotężne Stowarzyszenie Magów. Konflikty, zadrażnienia, ambicje... Dało to o sobie znać w momencie największego napięcia. Nie dość że Stowarzyszenie musiało uporać się z Czerwonymi Magami z Iranionu, to walczyło jeszcze z kilkoma

grupami secesjonistów. Dodaj do tego ludowe i nicoficjalne formy magii, takie jak Zaklinacze Pogody, a także mój drobny udział. W konflikt - tu ognisty na chwilę zawiesił głos -wmieszały się również siły, których natury nie pojmuję. To ostatnie trochę niepokoi, niemniej jednak efektem jest całkowita likwidacja organizacji stabilizującej kontynent przez bez mała dwa tysiąclecia. Gdy czarodzieje pojęli powagę sytuacji, było już zbyt późno. Zresztą, nie wszystkich interesowało ponowne ograniczenie ramami organizacji. Spotkanie rozjemcze ostatnich tuzów magii na Górze Agenda, które widziałeś, przyniosło śmierć połowy członków Wielkiej Rady Kapitulamej. Kilku zamieszanych jest w zamach/ pozostali zaginęli. I to dla nas naprawdę dobra wiadomość. Jak wiesz, Stowarzyszenie zagospodarowało ludziom sferę duchową, tępiąc religie i pozwalając głosić jedynie swoją filozofię. To ów rząd dusz był prawdziwą siłą czarodziejskiej konfraterni. Chodziło, oczywiście, o dostęp do mocy. Pramocy, którą my nazywamy Panem Jadów. To upostaciowanie pramocy jest niezwykle ważne, gdyż wzmacnia naszą psychę. W ateistycznym społeczeństwie nie istniało niebezpieczeństwo, że ktoś niechciany przez Stowarzyszenie opanuje elementarną potęgę. Tych, którzy naprawdę mieli talent, neutralizowano poprzez wciągnięcie do organizacji. Ale przecież nie tylko utalentowani mogą z mocy korzystać...

- Bowiem - przerwał Jarva, chwytając tok myślenia swego mistrza - każdy, kogo wiara jest naprawdę silna może w jakimś stopniu sterować ową siłą.

- Otóż to - potaknął Svaroh. - Zawsze byłeś moim najlepszym uczniem. Każda wiara umożliwia to w pewnym stopniu...

- Ale nasza w największym, gdyż nie jesteśmy skrępowani żadnymi barierami. To, czego inne, głupawe kultury zakazują, nam daje pełnię siły. Życie to nie tylko miłość, to również nienawiść, krew i ból. Poprzez nie dochodzimy do spektrum, do ogółu.

- W istocie. Życie to również walka, która jest istotą bytu. Żelazne Prawa Stworzenia mówią o nieustających zmaganiach. Prawdziwe szczęście dostępne jest tylko zwycięzcom, tylko tym, którzy stoją na najwyższym szczeblu drabiny bytów. Skoro zaś, w naszym wymiarze, pozycję ową zajmuje człowiek, to miejsce na szczycie przynależy się nam, bowiem jedynie my jesteśmy zdolni do kompletnego czerpania z Pramocy. Mając za sobą oddany, wspierający nas siłą swych myśli lud, my, pośrednicy między nim a Panem Jadów, mamy szansę zbudować w miejsce starego imperium nową, trwalszą konstrukcję. Nowy porządek. Nasz! Wszak wszystko, co wpajano do głów rzeszom ludzi w Czernokreinie okazało się kłamstwem. Po Stowarzyszeniu pozostały miliony sierot duchowych. Jeśli zdobędę ich dusze, jeśli zapanuję nad drzemiącą w każdym z nich mocą, będę władcą, namiestnikiem Pana Jadów. A ty będziesz mój a prawą ręką.

- Ku chwale Pana Jadów i twofej. Mistrzu - wyszeptal z przejściem Jarva, pochylając głowę.

- Tak - mówił dalej Svaroh. - To możliwe. Lecz kult Pana Jadów nie jest jedynym. Nie wszyscy muszą iść za Jego imieniem. Zaś szczególnie niebezpieczne jest to, co zastaliśmy na wyspie Bracz, wiara w Tego Który Jest. Podejrzewam, że jest to tylko inna twarz Pramocy, lecz jakże inna od tej, którą my wyznajemy. To religia dla słabych, dla głupców. Pełna zakazów, hamująca naturalne popędy, otwarcie przeciwstawiająca się "złu". Nakazująca traktować wszystkich z jedną estymą, jak gdyby każdy wart był tyle samo, uważasz? Ale owa wiara pociąga ludzi. Może łatwo stać się popularna. Zwłaszcza w ogarniętej chaosem Czernokreinie. Jak wiesz, troje z wyznawców uciekło. Na kontynent. Mniemam, że w okolicy Lukki. Jeden z nich jest dziedzicem księcia brackiego, Weslava. Pamiętasz, przeszli przez Komnatę. Myślę, że stało się to dzięki tej części mocy, którą pozwoliła im opanować ich religia. Przyznaję, wcześniej nie podejrzewałem u nich takiej siły. Ale dość o tym. Ty musisz ich odnaleźć i zlikwidować. To ważniejsze niż inne sprawy. A teraz rad bym usłyszeć, jak radzisz sobie z twym wcześniejszym zadaniem.

- Myślę, mistrzu, że gdy nadciągną ogniste okręty Odheyne, Lukka nie będzie zdolna do obrony. Prawda, każdy w mieście coś podejrzewa, w karczmach, na straganach, w porcie szepece się, że ludy wyspiarskie coś szykują..., Groza w powietrzu wisi. Niektóre banki już przebąkują o ewakuacji personelu. Alenharst otwarcie stwierdza, że spodziewa się naszej inwazji. Nawet stary lis, Hagald zaczął gromadzić zaciężnych. Na własną rękę, oczywiście, mimo moich zapewnień, że Lukka, rzecz jasna, za wykupem, stanie się jego udziałnym władztwem. Również krasnoludy, mający chrapkę na port, przyspieszyły przygotowania do wojny. Jednakże poczyniłem pewne kroki... Namiestnikiem właściwie nie musimy się już przejmować. Hagaldami, jak myślę, również nie. A krasnoludy nie zdążą. Iranion zbyt wielkich obstalunków dokonał, a oni bardziej są lasi na gotówkę niż na ziemię. Nie pomoże im nawet uformowanie specjalnej dywizji ogrów. To cały czas zbyt mało, by zmierzyć się z nami...

Jarva chciał mówić dalej, lecz spostrzegł, że płomienie, z których utkana jest postać Svaroha, bledną.

- Panic?

- Moc - wycharczał Svaroh. - Nie mogę dłużej utrzymać połączenia. Napór...

Płomienna sylwetka powoli blakia, zaczęła też drżeć.

- Wracaj! - krzyknął jeszcze. - I pamiętaj o zadaniu. Nie możemy dłużej zostawać w Komnacie. Niepojęte. Ktoś, równy mi w wykorzystywaniu pramocy. Kroki! Nadchodzi! Wypycha nas. Jarvo, czar wyjścia!

Mag wyszeptal szybko potrzebną formułę. Czarna nicość rozwiała się. Jarva Grithe wciąż klęczał, otoczony kręgami świece, które, zdalo się, nie zmalały ani trochę. Węże groźnie spozierały z gobelinów.

Czarownika przeszły dreszcze. Od posadzki wiało chłodem. Działo się tak zawsze, gdy nadchodził brzask.

Świtało, kiedy Alenharst przemyczał wąskimi uliczkami Lukki. Rynek ominął, nie chcąc, by wyciągnięto zbyt pochopne wnioski. Dla plotkarzy namiestnik wracający rozpromieniony z uczty u Hagaldów, i to w dodatku nad ranem, mógł oznaczać tylko jedno. A choć pozornie miasto spalo, Alenharst nie wątpił, że rynek obserwowały niejedne ciekawskie oczy.

Egis! Na żadnej innej myśli nie mógł się skoncentrować. Wspomnienia, jedno miłsze od drugiego, cisnęły się do głowy. Wszystko, co dotąd przeżył momentalnie zbladło. Przygodne dziewczki wyfrunęły z pamięci, niczym stado płochliwych przepiórek. Jego serce i głowa miały nowego króla. Lub raczej królową. Z drzeniem pomyślał, że nie pojmuje tego, co się z nim dzieje, że nie potrafi przewidzieć swoich reakcji. Ta znajomość, to uczucie, stało w sprzeczności z jego obowiązkami. W samym zarodku krył się ból. Bo Alenharst nie miał złudzeń co do rodziny Hagaldów. Zrobią wszystko, by zyskać, by urosnąć w siłę. Po trupach. Nawet po trupach Królestwa. A dla niego dobro państwa było najważniejsze.

Czy rzeczywiście? - zapytał siebie.

Ale Egis... Ona była inna. Uboga krewna, niewmieszana w układy, zaproszona na arystokratyczny dwór dla ozdoby. Walka o wpływy, kontrabanda, łapownictwo i ciche morderstwa przeciwników były poza nią. Tak mówiła. Wiedział, że gdyby chciała go zwieść, powiedziałaby dokładnie to samo. Lecz jej oczy... Ogromne, zielone, bezgranicznie szczere. Nie mógł ich zapomnieć.

Tak jak nie mógł zagłuszyć słodkiej obietnicy. "Przyjdę", powiedziała, całując go na pożegnanie. Nie miał siły, by zaprotestować. Choć wiedział, że właśnie tak powinien postąpić.

Widok baszty był dla niego niemalym zaskoczeniem. Zamyślony nie zauważył nawet, że przemaszerował całe miasto. To odruch, pomyślał. Powiniennem być iść się wyspać.

Na to, jak się okazało, nie było czasu. Z baszty wynurzył się Rippen. Choć Alenharst wiedział, że jego przyjaciel nie przespał drugiej nocy z rzędu, to próżno by szukać na Rippenowej twarzy śladów zmęczenia. Zbyt kochał służbę, zbyt był dumny, by cokolwiek pokazać po sobie.

Dopiero kiedy się odezwał, namiestnik pomyślał, że Rippen jest wyczerpany. Cóż, głos-zdrajca wyjawiał prawdę.

- Co, ucztą się przeciągnęła? Wystrojonyś jak paw. Więźniów chcesz olśnić, myślisz, że bardziej gadatliwi będą? No, ale nic, dobrze, że jesteś. Przed chwilą patrol przywiódł jeńca. Podejrzany, jak sam Odheyn. Nie wiadomo, jakiej nacji, bo gada równie dobrze, gdy go zagadnąc w imperialii, jak i w którym z języków wyspiarskich. Powiedzieć nie chce po dobroci, po

złości jeszcze nie próbowałam. Kręcił się w pobliżu murów, jak gdyby za słabymi miejscami się rozglądał. Co jeszcze dziwne to, że zimno było, a on ino lekką opończę miał na sobie, ale zmarznięty nie był. Snadź niewiele wcześniej wyruszył na przespiergi. Albo i z samego miasta wyszedł.

- Zobaczmy - stwierdził sucho Alenharst. Obowiązki... O ileż bardziej wolałby być z Egis. Zupełnie nie miał głowy do tak przyziemnych spraw. W dodatku był wykończony. Ale cóż, trzeba. Dla dobra Królestwa.

- Coś jeszcze? - spytał ciężko.

- Chyba nie. - Rippen pomyślał chwilę. - A, jest jedna sprawa. Ten wysoki, co go w fiordzie na łódce znaleźliśmy, pamiętasz? Ten od baby i dzieciaka, nie? - Alenharst pokiwał głową. Coś sobie przypominał.

- No cóż - mówił dalej Rippen. - Chyba zbyt mocno go ostatnio potraktowali. W dodatku już wcześniej rany miał ciężkie. No więc, słabnie z godziny na godzinę, krwi trochę mu uszło. Wygląda, że nie wyżyje. Co więcej, wygląda też, że rzeczywiście nie nadto, co rzekł, nie wie. Alenharst, żebyśmy my czasem bogu ducha winnego czleka nie wykończyli.

- Gdzie drwa rąbią - zaczął namiestnik, ale zatrzymał się w pół zdania. Spojrzawszy na swego zastępcę, warknął: - A co mam, do cholery, zrobić? Rzykując, że to szpieg, wypuścić? Niech wytłumaczy, do czorta, jakim sposobem znalazł się u naszych brzegów, na tej lupinie, którą by rzeki nie przepłynął. Niech udowodni. A ja go przeproszę, medyka wezwę i izby cieplej szukać pomogę. Ale nie, woli gadać o cudach i bogach. No to niech go ten jego bóg salwuje. Ja mam do uratowania całą Lukkę. I żaden bóg mi w tym nie pomoże.

Sobmir czuł, jak powoli, acz systematycznie uchodzi z niego życie. Rana przestała wprawdzie krwawić, lecz jego ciało trawiła silna gorączka. Podejrzewał zakażenie lub truciznę. Wszak ranę na brzuchu zadali siepacze Odheyna.

Spojrzał na dziecko. Jesza spał, wiercąc się niespokojnie. Małemu nie służyły lochy. Zresztą-pomyślał Sobmir - pokażcie mi kogoś, komu służą. Czarne, ponure myśli nadleciały cicho, niepostrzeżenie jak stado nietoperzy i obsiadły byłego kanclerza ze wszystkich stron. Przed oczyma stanęli mu Odheyn i Svaroh. Zrozumiał, że im nie umknie. On jak on, ale Jesza i Choma, jego żona...

Sobmira przeszły dreszcze. Dla siebie widział tylko jedną drogę ucieczki, na tamten świat. O ile w ogóle istnieje - przemknęło mu przez głowę. Ten Który Jest... Czy rzeczywiście był? Sobmir nie znalazł żadnego dowodu, na to, że jego wiara była prawdziwa. Bo czy ich ucieczka rzeczywiście była cudem? A może raczej losem rządził przypadek, który w zwykły dla siebie, pełen ironii sposób, wybawił ich z jednej opresji, wpędzając w drugą? Sobmir poczuł, jak bardzo boi się śmierci. Mimo wszystkich, przeżytych przez siebie lat, wiara, podtrzymująca dotąd nadzieję, chwiała się jak

plomyk dopalającej się świecy. Bo na czym opierało się jego niewzruszone dotąd przekonanie, że myśli właściwie? Że nastal czas nadejścia Pana? Za znak uznał zorzę! Zwykłą zorzę, tyle że pojawiła się ona trochę wcześniej, zgasła później i miała ociupinkę inny kształt niż zazwyczaj.

Panie, jeśli rzeczywiście w ten trudny czas potrzebujesz skały, czemuś wybrał na nią istotę tak kruchą, nietrwałą i ulomną? Czyja i Choma to rzeczywiście ostatni twoi wyznawcy?

Spróbował odgonić kruki myśli modlitwą, lecz ta się nie kleiła. Westchnął tylko, poprosił o przebaczenie dla tych, którzy uczynili mu jakiegokolwiek krzywdy i delikatnie, tak by nie zbudzić Jeszy, trącił Chomę.

Zbudziła się natychmiast. Czuwała. Martwiła się o niego chyba bardziej niż on sam.

- Choma - wyszeptal. Nachyliła ku niemu głowę. - Choma - powtórzył ciepło, łagodnie. - Powinnaś przygotować się na wszystko. Mnie już chyba się nie polepszy, ale ty... Ty i Jesza -głos Sobmira zabrzmiał mocniej - musicie stąd uciec. Koniecznie. Odheyn prędzej czy później nadsięgnie. Ba, Svaroh swoich ludzi może mieć nawet tutaj. A wy - westchnął ciężko - jesteście ostatnią nadzieją. Czernokreina musi usłyszeć Słowo o Tym Który Jest. Ja już go nikomu nie powiem.

Były kanclerz nawet nie zauważył, że jego żona szlocha. Głaskał jej włosy i mówił dalej:

- Ty i dziecko. Ucz chłopca. I nie pozwól mu zapomnieć, kim jest naprawdę. Kiedyś być może odzyska tron. Ale ważniejsze jest Słowo. Tylko ono może dać nadzieję - Wyszeptal słabo. Nie wiedział, czy sam w to wierzy.

Ciężkie drzwi od celi otworzyły się z jękiem, który zagłuszył Sobmirowe szepty. Pokrzykiwania strażników odbijały się echem od ścian, pędząc w głąb wąskich korytarzy:

- Tutaj - warknął jeden. - Tu jest jeszcze miejsce. A ten z brodą - tu wskazał pochodnią Sobmira - i tak najpewniej zemrze w ciągu dwóch, trzech dni. No, jazda z tym lażęgą. Co się z nim certolicie?! Raz dobrze przez łeb, a od razu mu się lazić zachce. Słuchaj mnie, lachmyto - strażnik zwrócił się do osoby, którą prowadzono. - Radzę ci gębę rozdziawić, bo cię pan namiestnik na przesłuchanie weźmie. Przyjrzyj się temu o tu - ręką znów wskazał Sobmira. - Też tak wyglądać będziesz. Czas do namysłu masz do południa - syknął na odchodnym wartownik.

Furta zamknęła się znowu. Choma, ocierając łzy, spojrziała na przybyłego. Był niewysoki, lekko przygarbiony i najwyraźniej poturbowany. Stał na środku celi i powiedział, zadziwiająco spokojnie, zważywszy jego sytuację:

- Witajcie! Mówcie mi Grain.

Przez małe okienko, tuż przy suficie, wpadł pierwszy tego dnia promień słońca. Nadchodził brzask.

- Napij się i obmyj - powiedział Sobmir, dzwigając się na lokciach i podając przybyłemu bukłak z wodą. -

Nos ci krwawi. Czyś również padł ofiarą podejrzliwości tutejszych wojskowych?

- W istocie - odparł Grain. - Prawda, moja droga wiedzie z daleka, lecz o to, kto w Lucee będzie władał, nie dbam. A za wodę dziękuję, lecz ty, zdaje się, potrzebujesz jej znacznie bardziej niż ja.

- Na mnie wszystkiego szkoda - wysapał Sobmir. - Umieram. Czyżbyś tego nie dostrzegal?

Choma rozplakala się głośno. Mały Jesza przetarł oczy, odpędzając sen, i spojrzal badawczo na przybysza. Ten zaś odparł:

- Nie. Znam się na chorobach, ranach i truciznach. Nie jesteś jeszcze w malignie. Słabniesz, acz jesteś wciąż świadom. To dobrze rokuje. Pozwól, zobaczę, co ci dolega.

W celi zrobiło się całkiem jasno, więc gdy Sobmir podciągnął koszulę, długie, purpurowe rozcięcie ukazało się w pełnej krasie. Grain przyklęknął, obejrzał je, naciskając tu i tam delikatnie. Z kieszeni opończy wyciągnął kawałek białej tkaniny, którą zwilżył wodą z bukłaka. Wyszeptal kilka niezrozumiałych słów, po czym przetarł ranę starannie kilka razy. Zapiekło. Sobmir syknął. Po chwili przybyły podniósł głowę:

- Nie jest tak źle, jak myślałeś, przyjacielu. Przydałby się co prawda jakiś opatrunek, ranę można by lepiej przemyć, ale nic to. Wydobrzejesz!

- Żarty - odparł Sobmir. - Ale dziękuję za troskę. - Naraz jego oczy zaświeciły.

- Grainie, proszę, błagam cię o jeszcze jedno. Nie wiem, jakiej jesteś wiary, nie wiem, czyś w ogóle religijny. Nie wnिकam w to, lecz proszę, oddaj przysługę człowiekowi, którego wiara i życie chwieją się jak plomyk na wietrze. Jesteśmy bodaj ostatnimi wyznawcami Tego Który Jest. Ja pewnikiem z tych lochów nie wyjdę...

- Wyjdiesz - przerwał Grain.

- Jeśli On da, lecz skoro można zwiększyć szansę, na przetrwanie prawdy, chciałbym ją wykorzystać. Któż wie, co czeka Jeszę i Chomę? Zatem, proszę, wysłuchaj mnie, a jeśli Słowo cię nie przekona, przekaż je choć dalej, komu innemu. Zgadzasz się?

Grain zastanawiał się przez moment. Wreszcie rzekł:

- Mam dla ciebie radę lepszą. Wszak i moja dola niepewna. Sporządźmy księgę! Spiszę to, co mi powiesz. Czasu mamy w bród.

- Księgę? Hmm, na kontynencie wielu jest piśmiennych. Tak. Doskonale - wydyszał trochę głośniej Sobmir, któremu jakby ociupinkę przybyło sił. Zaraz jednak spochmumiał. - Nie, niemożliwe... Skąd papier, skąd inkaust?

- Papier i pióra mam w opończy. Tego akurat strażnicy nie znaleźli. A inkaust... - Grain przerwał. Z wewnętrznej kieszeni opończy wyjął naostrzone, gęsie pióro i kartkę szarawego papieru. Chwycił miseczkę, w której Jeszy dawano strawę, wyplukał i nalał w nią trochę wody. Zdecydowanym mchem podciągnął rękaw i wbił pióro w żyłę. Krew trysnęła prosto do miseczki. Gdy ta była pełna, Grain zgiął rękę i miejsce nakłucia związał kawałkiem płótna.

- Oto mamy i inkaust

Mały Jesza krzyknął. Sobmir obrzucił nieznajomego zdumionym spojrzeniem. Ten, nie czekając na pytanie, rzekł:

- I mnie słowo o Istniejącym jest znane. Nie jest mi też obojętne, czy pamięć o nim zaginie. Zatem nie dziw się memu poświęceniu. Daję, co mogę.

- Słyszałeś o Tym Który Jest? - zapytał zaskoczony Sobmir. Zapomniawszy na chwilę o bólu ran, usiadł na zgnilosłomianym posłaniu. - Jakże to? Myślałem, że tylko mój lud zachował wiarę.

- Bynajmniej. Czcili go i żeglarze z Wyspy Win i dzikie ludy Mrookboru, dokąd nigdy nie dotarło ramię Stowarzyszenia. Ba, Słowo rozbrzmiewało nawet na Dzikich Polach, gdzie niejedno plemię koczownicze oddawało hold Jedynemu Stworzycielowi. Miano bywało różne, w zależności od oblicza, które Jedyny ukazywał, lecz zawsze chodziło o Niego.

- Czyż zatem jest przyczyna do zmartwień? Czy jest przyczyna, by pisać księgę? Skoro inni również...

- Nie ma już żadnych "innych". W tej celi zgromadzili się wszyscy prawdziwi wyznawcy Tego Który Jest, którzy nie boją się doń przyznać. Wiadome mi jest bowiem, że twój lud został wymordowany, a ci, którzy zostali, wyparli się swej wiary, porzucając wieczną nadzieję na rzecz doczesności. Z innymi plemionami stało się podobnie.

- Nie masz prawa ich potępiać - zaprotestowała ostro Chorna. - Svaroh to kapłan zła i ci, którzy za nim podążają z przekonania, nie zasługują na miłosierdzie. Lecz ilu było takich wśród plemion brackich? A ilu takich, co zostało, bo nie było jak uciec, tylko w śmierć? Ilu takich, którzy nie o siebie się lękali, ale o swe dzieci? O, nam było stokroć łatwiej porzucić ukochaną ziemię. My starzy już, dzieci własnych nie mamy, a Jeszę trzeba było z wyspy...

- Cicho - przerwał ostro Sobmir. Chorna spuściła oczy, rozumiejąc, że popełniła głupstwo. Grain jednak rzekł:

- Wasza przeszłość to wasza sprawa. Kim Jesza jest z pochodzenia, nie znaczy dla mnie wiele. A na miłosierdzie zasługuje każdy. Nie tylko najgorliwszy sługa Svaroha, ale i sam czarnoksiężnik. Póki żyje. Na oceny czas przyjdzie dopiero po tamtej stronie istnienia. Czy nie tak głosi Słowo? Ja też nie potępiam konwertytów z przymusu. Jednakże trudno ich nazwać wyznawcami Tego Który Jest.

- Prawda - odparła Chorna.

- Zaskakująco dobrze znasz naszą wiarę... - rzekł z przekąsem Sobmir.

- Czy to źle? - spytał Grain. - Mówilem, że wasza nie jest mi obcą. Wszak wyjdzie to księdze na dobre.

- Racja. Zaczynajmy, póki sił starcza - podsumował Sobmir. - Pisz, przyjacielu.

Pisali, póki strażnicy nie wzięli Graina na przesłuchanie. Gdy wrócił, można było zrobić mnóstwo czerwonego inkaustu.

- Tytuł to rzecz najważniejsza. Skoro ma to być zbiór prawd wiary, można nazwać go brewiarzem, kompendium bądź almanachem... - zaproponował Sobmir.

- Nie! Pierwsze słowo o zrodzeniu rodzaju ludzkiego opowiada o rozłączeniu człowieka z jego Stworzycielem. Teraz ludy jeden po drugim tracą wiarę. Prawdy mówią, jak poskromić zło, jak nie stracić swej duszy. Ja nazwałbym nasze pismo...

Księga Straty: Słowo Pierwsze (fragmenty)

... Z czego pierwszy człowiek został stworzony? Boski oddech, ciało utoczone z wszelkich rzeczy, które na ziemi znaleźć można, zarówno pięknych jak i ohydnych. (...) Wreszcie Istniejący spojrzal na swego zbuntowanego sługę, zwanego Jadów Panem i wyrwał mu z serca jedno z nasion buntu. Na koniec dodał wolną wolę. (...) Oto klucz do człowieczej natury.

(...) I rzekł Pan: - Precz, boście niegodni mieszkańcy ze mną. Odtąd pierwszej próba będzie, później zaś me królestwo. Nie dla wszystkich. Dla wybranych. A resztą niech Pan Jadów włada, bo wieście, że ci, którzy mnie i moich praw nie szanują, jego wybierają.

- Nic - warknął Alenharst, nerwowo przechadzając się po komnacie. Od tygodnia z okładem wszystko wyprowadzało go z równowagi. - Od tego Graina niczego się nie dowiemy, choćbyśmy go zabili..- Tu namiestnik wytarł okrwawioną rękę w poły płaszcza. - Uwierzysz? Ponad tydzień przesłuchań i ani słowa wyjaśnienia, ani jednej informacji.

- Ujęliśmy następnych - powiedział Rippen. - Ci przyznali się od razu. Dowiedziałem się od nich, że Odheyn zgromadził już ponad sto okrętów. A przecież wysłano ich już miesiąc temu. Miałaś rację, to nie będzie lupieżcza wyprawa. Odheyn szykuje podbój!

- Mówilem - wycedził przez zęby Alenharst. - Potwierdzają to również doniesienia naszych fregat, patrolujących Akwen Lodowych Wichrów. Dziś rano jedna z nich zawinęła do portu. Mam raport kapitana i meldunki z faktorii na Wolvilii. O tej porze roku piraci zwykli zaczynać harce, nasze faktorie wyspiarskie powinny być zniszczone. Tymczasem panuje cisza. Spokój. Co więcej, zamarł nawet ruch handlowy. Widziałeś ostatnio jakieś knory w porcie? Jedynie co wyspiarze kupują, to broń od krasnoludów.

- Gdy idzie o krasnoludy, to mam dobre wieści. Zwolnili przygotowania do wojny, nie mają dość broni... - wtrącił Rippen.

- Bo sprzedają ją innym - mruknął Alenharst. - A im i tak nikt do dupy się nie dobierze. W ich jaskiniach, w ich zamkach wykutych w skale nikt nie ma szans. W dodatku trzymają łapę na bankach. Nie wiem, czy wiesz, ale nawet Królestwo swego czasu brało u nich kredyty... Do czasu, kiedy odmówili kolejnej pożyczki. Dwa lata temu, kiedy rozpoczęto budowę nowej flotyli galer. Już wtedy przestaliśmy być dla nich wiarygodni.

- Teraz pewnie kredytują Iranion?

- Możliwe. Zwycięzca, kim by on nie był, będzie miał u nich dług. Lecz nawet ich wiarygodności nie dają im kompetencji do łamania prawa królewskiego. Przekłęci! Oby ich lawiny pochłonęły...

Rippen zmarszczył czoło.

- Iranion w odwrocie, do kontrofensywy się sposobi, nowe werbunki ogłasza. Należałoby się spodziewać w niedługim czasie prób przemytu broni na wielką skalę.

- I ja tak uważam. Garnizony myślałem objechać, tu i tam kilkudziesięcioma ludźmi je wzmocnić.

Rozmowę przerwało pukanie. Młody, piegowaty chłopiec na posyłki wsunął swą zwinną głowę do komnaty i rzekł:

- Gość do was, mości namiestniku. Widać jaki ważny, bo twarz pod kapturem skrywa i ino z waszą miłością chce mówić. W cztery oczy.

- Gdzie on? - spytał Alenharst.

- Ano, zawiadłem go do owej malej izby bez okien, z grubymi drzwiami, gdzie wasza miłość zwykle z gośćmi ważnymi konferuje.

- Jak się aż tu, do samego serca twierdzy dostał?

- Głejty jakoweś okazywał.

Czoło Alenharsta przecięła pionowa zmarszczka. Kolejna zagadka. Zaciekawiony kiwnął na pacholka i ruszył do drzwi. Wychodząc, odwrócił się do Rippena i rzekł:

- Jak tylko dowiem się, kto zacz, wrócimy do naszej rozmowy. Przyszykuj ze trzy setki wojów. Być może jeszcze dziś wyruszymy na szlaki.

Ale nie ruszyli. Ani tego, ani następnego dnia.

Egis, choć od trzech godzin nie spała, nie mogła zapomnieć straszego snu. Do koszmarów, nawiedzających ją co noc, zdążyła już przywyknąć, lecz ten był wyjątkowo brutalny, bolesny i krwawy. Bała się go, drżała na samą myśl, że następnej nocy historia może się powtórzyć. Jej dusza wyla z udręczenia. I tęsknoty.

Nie widziała Alenharsta od czasu uczy. Czy świadomie się z nią nie kontaktował, czy też nadmiar obowiązków nie pozwalał mu przyjść do niej, nie wiedziała, lecz jej głowa była pełna myśli zupełnie dla niej nowych. Nagle zyskała świadomość, jak wiele dziewcząt w Luce może z nią rywalizować o miano najpiękniejszej, nagle zdała sobie sprawę z własnych niedoskonałości, a także ze specyficznego, nieregularnego trybu życia, jaki zazwyczaj pędzą żołnierze.

Krótko mówiąc, była zazdrosna.

Decyzję podjęła natychmiast, jak to miała w zwyczaju, nie zastanawiając się nad nią dłużej niż trwało przewrócenie się w łóżu z boku na bok. Gotowa była w ciągu pół godziny. Wszystko szło jak z płatka, więc koszmar powoli zatracal w jej pamięci wyrazistość. Nawet wuj Ein okazał się pomocny, bez słowa protestu wypisując jej odpowiednie głejty. Co ważniejsze, o nic nie pytał. Na koniec przywdziała długi szary płaszcz, z kapturem tak obszernym, że skrywał całą jej głowę, nie pozwalając jej rozpoznać

nikomu. Długa, piasza wędrowka przez miasto była, z powodu stroju jako przywdziała, uciążliwa. Opończa płatała nogi, a kaptur co i rusz spadał na oczy. Wreszcie doszła do twierdzy. Reszta była dziecinnie prosta. Nie musiała wiele mówić. Starczyło, że szła, pokazując głejty. Mijała kolejne stráže. Wreszcie ktoś zaprowadził ją do malej izby, gdzie miała czekać na przybycie namiestnika.

Drzwi skrzypnęły, a ona nie spoglądając w ich stronę, czuła, że Alenharst nadchodzi. Nie wiedziała, jakim sposobem ją rozpoznał, lecz nim ściągnęła kaptur, nim przebrzmiał odgłos zatraskiwanej furty, był już przy niej, tuląc ją i obsypując pocałunkami.

- Egis - szeptał. - Egis, kochanie... Głupiec ze mnie. Cóż mnie obchodzi Królestwo bez ciebie. Egis, byłem pewny, że nie przyjdiesz, byłem pewny, że zabawiłaś się mną jak marionetką. Wybacz, Egis.

- Alen - mruknęła do jego ucha - ja bez ciebie... Przytul mnie.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej. Trwali tak chwilę, a potem łakome ręce rozpoczęły spacer. Jedno mocne szarpnięcie zerwało z niej opończę, odsłaniając długą, gustowną suknię, która jednak w oka mgnieniu podzieliła los płaszcza z kapturem. W tym samym czasie Egis rozpiniała płócienną brązową koszulę, ściągała z Alenharsta co popadnie, z równym brakiem respektu podchodząc do bielizny, jak i do namiestnikowskich dystynkcji.

Położyli się na podłodze, zapominając o wszystkim prócz siebie.

On jest jak gnany wichrem drakkar, który dobija do portu, pomyślała dziewczyna, wzdychając ze szczęścia.

Koszmar minionej nocy odpływał daleko, daleko.

Rippen nie mógł dłużej czekać. Wołały go obowiązki. Ale coż Alenharst mógł tak długo robić w tej komnacie? Zaiste ważny to musiał być posel.

Wygląda na to, że dziś nie wyjedziemy, pomyślał. Zresztą, mała strata. O tym wiem tylko ja i Alenharst. Skąd wiedzieć by mieli przemytnicy?

Uspokoiwszy się, zastępca namiestnika, marszałek Rippen ver Froest, ruszył do zbrojowni, gdzie pełną parą szła produkcja pocisków zapalających do katapult montowanych na galerach. Była to jedna z niespodzianek przygotowanych na przybycie wyspiarzy.

- No - mruknął. - Tego, psie ścierva, się nie spodziewacie!

Z twierdzy wymknęli się niepostrzeżenie sekretnym wyjściem. Gdy dotarli do domu namiestnikowskiego, cicha posługaczka pokręciła głową zaskoczona. Była już świadkiem niejednej alkoholowej libacji namiestnika, lecz od dziewcząt jej pracodawca zawsze stronił, mówiąc, że czasu ni ochoty na amory nie ma.

Po tym, co posługaczka widziała, wywnioskowała, że ochota była wielka. A skoro tak, to czas również musiał się znaleźć.

Choćby walil się świat.

Kilkanaście ognisk płonęło w głębokim jarze. Noc była zimna, jasna. Niebo błyszczało tysiącami gwiazd. Księżyc świecił blado. Na pobliskim pagórku, kryjąc się w kępie świerków, siedziało pięciu wojów, którzy musieli przecierpieć swoją wachtę, by móc wrócić do ciepłych ognisk. Taka dola. Choć już dawno przemysłowcy porzucili ten szlak, trzeba było go pilnować. Rozkaz Alenharsta.

Mimo chłodu, trzech wartowników drzemało. Gorzalka potrafi rozgrzać nie gorzej niż ognisko. Dwaj pozostali ze znużeniem obserwowali dobrze znany krajobraz. Nitka drogi wiała się wśród kęp drzew, skałek i pagórków. Trakt, po ostatnich deszczach, rozmókł. Kto rozumny puszczałby się na szlak w takich warunkach?

- Ty, patrz! Tam, zza zakrętu, coś wyszło czy ino mi się zdawało? •

- Zdawało - odparł drugi, nawet nie patrząc we wskazanym kierunku.

- No spojrzysz, cholera, poważnie mówię.

Drugi uniósł głowę i wbił wzrok w drogę kryjącą się w małym zagajniku, jakieś dwie mile od nich. Fakt, coś się tam ruszało.

- Co to, do czorta...???

Wtedy pierwsze wozy wylonily się zza drzew: jeden, pięć, dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści... Karawana eskortowana była przez konnicę.

- O jasna kurwa... - zaklął pierwszy strażnik. - Budź Orego, niech leci z wiadomością na dół. Wygaszać ogniska. I niech setnik tu przyjdzie.

W dwadzieścia minut oddział liczący sześćdziesięciu ludzi był gotów, czekał w milczeniu na rozkaz do ataku. Setnik w otoczeniu zwiadowców stał na wzgórzu, patrząc na wijący się w dole wąż wozów. Wiedział, przeciwnik ma przewagę liczebną, lecz zaskoczenie mogło ją zrównoważyć. Mogło. Brakowało jednego. Imię Alenharsta działało na przeciwników bardziej niż szarża jazdy. Wszyscy wpadali w poploch słysząc, że Lew Wybrzeża nadchodzi. Lecz namiestnika z nimi nie było. Setnikowi pozostał w zanadru jeden fortel. Nachylił się do Orego i szepnął:

- Leć na dół i przykaż ludziom, by ruszając do szturm, krzyczeli "Alenharst". Nikt nie musi wiedzieć, że namiestnika z nami nie ma.

Żołnierz skinął głową i pbbiegł na dół. Setnik stał, obserwując, jak wozy pełną po grząskiej drodze. Woły z mozołem, wytrwale ciągnęły swe brzemie. Kawalkada, krok po kroku, przybliżała się do pagórka.

- Aaalecenharst!!! - krzyknęła Egis w uniesieniu. Fala satysfakcji zalała jej zmysły. Lecz bynajmniej nie miała dość. - Jeszcze - poprosiła. - Jeszcze!

Młody namiestnik odetchnął i natarł znowu.

Uderzenie rozbilo się o boczną straż jak fala o skały. Krasno-ludy stawały dzielnie, nie cofając się o krok. Zupełnie jak gdyby byli przygotowani na natarcie. I

wiedzieli, że wbrew temu, co krzyczą żołnierze, Alenharst nie prowadził ataku.

Krzyknął z bólu, gdy paznokcie Egis rozorały jego nagie, spocone plecy. Kilka kropel krwi spłynęło na białe, potargane w trakcie miłosnych igraszek prześcieradło.

Krew. Jedna kropla, druga, cała kałuża. To moje, pomyślał setnik, kuląc się z bólu. Gasnącym spojrzeniem ogarnął teren starcia. Krasnoludy i kilkunastu ludzkich zbirów-najemników otaczało topniejący w oczach oddział królewskich. Przeciwnicy byli wszędzie. I było ich co najmniej cztery razy więcej niż strażników granicy. Setnik pojął, że żadna siła nie uchroni ich od klęski. Wybiją nas do nogi, pomyślał, po czym zalało go znużenie.

Jestem zmęczony. Bardzo, bardzo...

...zmęczony - rzekł Alenharst do Egis, gładząc ją delikatnie. - Dziewczyno, jesteś nienasycona.

- Nigdy nie będę miała cię dość. Nigdy!

- Uważaj, o co prosisz, bo możesz to otrzymać - powiedział, mrużąc oko. - Ale o tym jutro. Teraz spać. Ależ to była cudowna...

...noc - mruknął Niping, gładząc swą długą brodę. Ostatni raz spojrział w stronę morza, gdzie w porannej szarzyźnie, gdzieś przy linii horyzontu nikła mała, załadowana po brzegi bronia, flotylla. Krasnolud poklepał czule pękata sakiewkę i ruszył w stronę oddalających się szybko pustych, wozów. Czas było wracać.

Pobojowisko spowijały mgły. Powietrze przesycone było wonią śmierci tych, którzy nie doczekali brzasku.

Jarva siedział w swej małej komnacie, udekorowanej czterema wężowymi gobelinami. Potrzebował chwili skupienia, potrzebował poczuć dotyk Pana Jadów. Był bowiem wściekły. Kolejna próba przekupienia któregoś z królewskich spelzła na niczym. Żołnierze byli ślepo wierni namiestnikowi. Psy! - pomyślał rozcłony. Wiedział jednak, że służba graniczna ma najlepsze dane, dotyczące ludzi, którzy napływają na tereny Królestwa. Jeśli ktoś dopadł Sobmira, to najpewniej oni, przyszło mu do głowy. Może dawno zrej terował w głąb kontynentu? A może gnije w jakimś lochu? Wiadomo, że Alenharst pakuje wszystkich podejrzanych do katakumb. Musi nacisnąć Hagalda, by jego wtyczka w twierdzy wywiedziała się wszystkiego.

Póki co chciał jednak porozmawiać z bóstwem. Lecz Pan Jadów nie schylił się nad swym sługą. Moc, której prawie dotknął, rozplywała się, była niewyraźna. Wiadomo, pomyślał Jarva Grithe z rezygnacją, zawsze tak jest, gdy nadchodzi brzask.

Księga była w dwóch trzecich gotowa. Pisanie szło nad podziw sprawnie. Sobmir z dnia na dzień, zdaloby

się, że z każdą kolejną kartką, zdrowiał i odzyskiwał siły. Momentami zapominał o niewoli. Żył w transie. Liczył się każdy dzień, każda chwila. Tym bardziej, że Grain był coraz słabszy a jego wkład w księgę trudny do przecenienia. Wielokrotnie redagował czy poprawiał tekst, często doradzał, a bywało, że sam dodawał obszernie fragmenty. Momentami Sobmir zastanawiał się, czy aby tajemniczy przybysz nie zna Słowa lepiej, niż on sam. To był jeden powód, dla którego były kanclerz lękał się o zdrowie Graina. Drugi był prostszy - w trakcie wspólnej niewoli i wspólnej pracy zaprzyjaźnili się ze sobą. Sobmir wiedział, co znaczy śmierć przyjaciela. Gdy uciekał z wyspy, po wszystkich jego bliskich, z wyjątkiem żony, pozostały groby.

Na domiar złego, Grain uparł się, że księga będzie spisana jego krwią. Tylko i wyłącznie. Na nic były prośby, na nic argumentacja. Grain kluczył, przekonywał, lawirował i koniec końców, zawsze wychodziło tak, jak tego chciał.

- Chyba dali ci spokój i nie będą wolać na przesłuchanie - rzekł były kanclerz do swego współpracownika. - Dawno już minęło południe, a wartowników nie widać.

- Możliwe. Pewnie złapali nowych i nad nimi będą się znęcać - ponuro stwierdził Grain.

- Już niedługo. Inwazja tak czy owak położy temu kres.

- Zatem piszmy, byśmy zdążyli przed nią. Daj pióro, muszę nakłuć żyłę.

- Znowu? Błdyś jak mleko - załamał rękę Sobmir. - Zrobmy dzień przerwy. Mamy wszak już Słowo o Jedynym, Słowo o Stworzeniu, Słowo o Światach, Słowo Prawd, Słowo Regul Ludzkich, Słowo Historii, Słowo o Próbach, Słowo o Nauce, Słowo o Cudach, Słowo o Imionach, Słowo o Miłości...

- Tak. A dziś musimy spisać Słowo o Objawieniach i Proroctwach. Jeśli, oczywiście, chcemy zdążyć. Chcemy? Sobmir zniechęcony pokiwał głową.

- Zatem koniec dyskusji - odparł triumfalnie Grain, wbijając pióro w żyłę. Popłynęła krew.

Księga Straty. Słowo o Objawieniach i Proroctwach (fragmenty)

(...) Zatem gdy filary świata runą i Czernokreina zadrży w posiadach swoich, a Prawda i Stowo w pogardzie będą, przyjdzie Pan, by wspomóc swój lud, (...) w darze człowiekowi niosąc lek. Jak się z nim człowiek obejdzie - wolna wola.

(...) i Ten Który Jest złoży ofiarę drogocenną. (...) Cieszcie się ci, którzy w tych czasach żyć. będziecie, gdyż dane wam będzie oglądać jedną z twarzy Stworzyciela.

Jego nadejście poprzedzą znaki, z których najważniejszy to zorza, na podobieństwo orlego pióra ułożona.

Sluchajcie, kto ma rozum! (...) Tak mówię ja, nędzny pył, którego ustami Istniejący przekazuje wam swą wolę.

Skąd cień, stamtąd i brzask.

- Proroctwo Kulina.

- To chyba najsłynniejsza z przepowiedni - mruknął Sobmir.

- Zorza w kształcie orlego pióra... Zdawało nam się, że właśnie to widzimy

- Wątpisz w jej prawdziwość? - spytał z zainteresowaniem Grain

- W jej prawdziwość? - Sobmir zastanowił się chwilę. - Nie, raczej nie. Myślę jednak, że się pomyliliśmy. Zorza była zwykłą zorzą, niczym więcej. Żadnym znakiem. Mogliśmy też przeoczyć Jego przyjsie. Mogliśmy wreszcie nie być godni, by je oglądać. Nie my jedni żyjemy w Czernokreinie.

- Straciłeś nadzieję? Człowiekowi zawsze trudno rozszyfrować boskie zamiary. Lecz gdyby wszystko było jasne, na czym miałyby polegać wiara? - rzekł Grain, po czym, nie czekając na odpowiedź, pochylił się nad kolejną kartką.

Rippen cicho wszedł do domu namiestnikowskiego. Był zaniepokojony. Alenharst od rana nie dawał znaku życia. Tymczasem sprawy gonily jedna drugą. Nowe informacje, zaciąg do armii, dostawy olejów płonących, którymi nasączano pociski katapult, woła rady miejskiej, która powiedziała, że więcej na przygotowania obronne nie da grosza, wreszcie odmowa kredytowania kupna stu kusz i dwustu mieczy przez Bank Aganburdz-ki - to wszystko czekało na namiestnika.

Już w korytarzu usłyszał kobiecy śmiech, dochodzący z sypialni. Zaklął w myślach. W koło same kłopoty, a Alenharst, najwyższy przedstawiciel królewski, zabawia się z jakąś cizią! Wścickły pchnął drzwi. Stał natychmiast. Namiestnik siedział na łóżku, a do jego ramienia tuliła się...

Rippen znalazł twarze wszystkich osób w mieście, które uważał za ważne. A rodzina Hagaldów znaczyła wiele. Zatem i Egis nie była mu obca. W jednej chwili zastępca namiestnika spurpurowiał. Poczul strach. Jego przyjaciel, druh, któremu powierzyłby własne życie okazał się zwykłym...

- Zdrajco! - ryknął i rzucił się do wyjścia. Alenharst zerwał się z łóżka i pociągnął za nim. Doścignął go przed domem. - W ten sposób cię kupili? Nie szło za pieniądze, to podesłali ci do łóża dziewczkę, co? A Królestwo niech szlag trafi!

Potężny cios trafił w szczękę marszałka Północnej Marchii.

- Nigdy tak o niej nie mów. Nigdy - warknął wścickie Alenharst. Zaraz się jednak opanował. - Nie jest tak, jak mówisz. Ona, Egis, jest inna. Nie liczy się dla niej to, że jestem przeciw- • nikiem jej wuja. Ona... - Alenharst zająknął się - ona mnie kocha. Tak jak ja ją. Ale wiem, że póki pozostanie pod opieką swego wuja, podejrzeniom nie będzie końca. Nie, nie przerywaj mi. Wiem, że ostatnia noc to było szaleństwo. Mamy, ja i Egis, jedno wyjście. I skorzystamy z niego. Sluchaj Rippen, przyjacielu. Dziś widziałeś moją przyszłą żonę.

- C...co? - wyjął Rippen. Przez chwilę nie mógł wydusić z siebie niczego innego. Potem spytał: - Kiedy? Kiedy zamierzacie się pobrać?

- Jeszcze dziś. Jako najwyższy urzędnik, sam mógłbym sobie udzielić ślubów, lecz jeśli zgodzisz się mnie w tym zastąpić, będę zaszczycony. Powiadomiłem już Eina. Nie obchodzi mnie, co on na to powie. Formalności dopełniłem.

- Kiedy więc? - zapytał drżącym głosem Rippen.

- Choćby zaraz!

Wizja nadszła z pomocnym wiatrem, który wieczorem z dziką furją uderzył w Lukkę. Oczy Jarvy momentalnie zaszyły mgłą. Jego świadomość, oderwana od ziemskich ograniczeń, poszybowała nad czarnym, spienionym oceanem. Nie minęło mgnienie oka, gdy ujrzał pierwszą z Wysp Borealu - Wolwię. Po niej były następne, cała masa drobnych, gdzieś jakaś większa. Wreszcie jego oczom ukazał się znajomy duży kształt - Wyspa Algom.

Jażń, porwana w szpony potężnej woli, szybowała dalej, schodząc jednocześnie coraz niżej. Zatrzymała się kilka lokci nad wodą, w odległości trzech mil od wyspy. Jarva spojrział w jej stronę. Wtedy zrozumiał przyczynę wezwania. Na tle purpurowego, słonecznego koła widniały sylwetki okrętów. A była ich cała chmara. Grubo ponad dwieście wyszło już w morze, a z zatoki, gdzie przycupnął port, wciąż wypływały następne. Czerwone żagle zlewały się z tłem słońca. Największy żagiel ozdobiony był wizerunkiem skrzydlatego węża. Jarva wiedział - to okręt Odheyna.

Węzo- i smoczogłowe łodzie ciążyły powierzchnię wody. Jedne były bardziej smukłe, drugie znów, przeznaczone do przewozu oręża, pękate i szerokie. Rzędy wiosel podnosiły się i opadały miarowo, niczym ptasie skrzydła. Flotylla właśnie się formowała. Szybkie drakkary wysforowały się do przodu, cięższe, szersze knory płynęły zaś z tyłu. Na końcu i po bokach knotów, wiozących większość zaopatrzenia, uformowały się eskadry drakkarów, osłaniających trzon armady. W samym jej sercu płynął okręt flagowy.

Jarva poczuł potężne wezwanie. Płynęło właśnie z łodzi Odheyna, na dziobie której stał - z daleka rozpoznawał tę sylwetkę - Svaroh.

Nie ma już odwrotu, zadudniło mu w głowie. Bądź gotów na nasze przybycie. Za dwa dni...

Obraz zawirował, zwinął się w kłębek, zniknął. Jarva Grithe wiedział, że nadszedł czas. Natychmiast skierował się do swej komnaty. Starannie rozstawił świece, zamknął drzwi i zapalił kadzidło. Pewnymi osobami bezwzględnie należało się zająć przed przybyciem Odheyna.

Rippen siedział przy suto zastawionym stole. Towarzyszyło mu ledwie kilka osób. Nie było czasu, by szykować wystawne przyjęcie. Zresztą Alenharst nie miał rodziny, a" ze strony Hagaldów nie myślano nikogo zapraszać. Bynajmniej nie tak winno wyglądać wesele namiestnika Północnej Marchii.

Młody marszałek z kamienną twarzą obserwował szaleństwo swego przyjaciela, licząc po cichu, że małżeństwo załatwi sprawę. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Alenharst zwąchał się z Hagaldami. Postanowił namiestnikowi uwierzyć. Po raz ostatni.

Wszystko wskazywało na to, że się nie pomylił. Egis nie przyjęła żadnego z kosztownych prezentów przysłanych jej przez wuja. A Alenharst znalazł czas, by zając się najpilniejszymi sprawami. Dzięki jego interwencji rajcy potulnie sypnęli groszem, a handlarze olejem, dali też towar na przedłużony termin.

Więść o ślubie rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Od wszystkich znacznieszych osób napływały listy z gratulacjami. Miasto trzęsło się od plotek. Wszelkie inne tematy zeszły na margines. Mariaż Hagaldowie - namiestnik był nie lada sensacją. Niektórzy mówili, że Egis jest ceną za przymknięcie oka na przemyt, inni szli jeszcze dalej, twierdząc, że Hagaldowie obejmują władzę w mieście.

A sami małżonkowie, wbrew plotkom, zwyczajnie się kochali. I byli szczęśliwi. Alenharst poczuł się lekko, swobodnie. Wszystkie jego wątpliwości zniknęły. To był łyk świeżego powietrza, którego potrzebowała jego dusza. Namiestnik, po raz pierwszy od wielu dni, z naiwną odwagą spojrział w przyszłość. Egis kwitła. Na prawo i lewo słała promienne uśmiechy, cieszyła się jak dziecko i szebiotowała ujmująco, tuląc się co chwilę do męża. Rippen obserwował ją przez moment, nie mogąc oderwać wzroku. Nic dziwnego, że Alen zgłupiał. Dla niej każdy by rozum postradał, pomyślał. Nie mógł dłużej wściekać się na Alenharsta. Czy taka radość nie była warta każdej ceny?

Było grubo po północy, gdy wychylono ostatni toast. Szkło kielichów rozprysło się po podłodze. Alenharst podziękował wszystkim przybyłym, dziarsko chwycił swą oblubienicę i zaniósł ją do sypialni, udając, że nie słyszy rozmaitych żartów i sugestii, od zwyczajnie głupich, do całkiem... praktycznych. Drzwi sicknęły. Zostali sami.

Jarva oddychał płytko, szybko. Płomyki świec pulsowały. Ciężki dym kadzidla pelzał powoli po podłodze, klębiąc się u nóg maga. Zamknął oczy. Macki mocy sondowały otoczenie w poszukiwaniu znajomego umysłu. Znalazł szybko. Odetchnął głębiej, skupił się i szybko wniknął w poszukiwaną jaźń. To nie było trudne. Robił to wielokrotnie, a tym razem wszelkie bariery osłabione były przez alkohol.

Zbyt wiele wypilam, pomyślała Egis, czując, że kręci się jej w głowie. Przytulając się do przyjemnych, gorących dloni Alenharsta, tonęła w jego nagich ramionach. Obraz rozmył się. Zmęczona szalonym dniem i równie szalonymi nocnymi igraszkami powoli osuwała się w sen.

W koszmar.

Jarva działał spokojnie, metodycznie. Znal jej psychikę jak własną kieszeń. Sny przygotowywały ją przez długie miesiące. Od kilku tygodni dziewczyna robiła dokładnie to, czego chciał. Teraz nadszedł w jego planie moment kulminacyjny. Na początek zaaplikuje jej...

Strach rozlał się po ciele Egis. A potem przyszły demony. Jeden po drugim nawiedzały jej głowę. Wampiry tańczyły przy jej łóżku, ghule pelzały po jej ciele. Cienie wily się przed jej oczyma. Hordy nietoperzy i pajaków bombardowały jej twarz. Wszystkie te stwory miały jednakowe, dziwnie znajome rysy.

Po chwili zagrożenie zmieniło swą postać. Zło założyło nową maskę. Stało się ciepłe, gorące wręcz. I było tuż przy niej. Macki obejmowały ją, nie pozwalając uciec. Była uwięziona. Serce biło jak oszalałe, chłód ogarnął jej ciało. Blisko, blisko... Zagrożenie przybrało znajomą postać. Panika uderzyła w nią z niezwykłą siłą. Przez moment nie wiedziała, co robić.

Oczyma dziewczyny rozejrzal się po komnacie. Krótki miecz Alenharsta stał oparty o ścianę. Prawa ręka Jarvy drgnęła. Dłoń poruszyła się tak, jak gdyby coś chwytala. Mag bezgłośnie wymówił zakłęcie. Potężny impuls trafił w umysł, którym zawładnął. Sprawa musiała być załatwiona szybko.

Rozwiązanie nasunęło się jej samo. Genialne w swej prostocie. Zło było blisko, w zasięgu jej ręki, zatem miast czekać na atak, samemu zaatakować. Wstała cicho, mieczyk usłużnie wsunął się w jej rękę. Podeszła cicho do łóżka, na którym leżała przed chwilą. Podniosła ostrze w górę. W głowie zabrzmiało jej rozkazujące: "Zabij!".

Mierzyła w serce.

Alenharsta zbudził dziki krzyk. Do jego zaspanej jaźni przedarł się obraz miecza wiszącego nad jego głową. Miecz trzymała Egis. Jej twarz wykrzywił ból. Zadrzał. Nie było czasu, by pomyśleć cokolwiek. Ostrze zbliżało się nieuchronnie.

Miecz spadł bezwładnie na podłogę. Egis zawyla rozdzierająco, chwytając się za głowę. Z jej ust kapala krew, przemieszana z gęstą śliną. Dziewczyną targnął szloch, który po chwili przeszedł w paskudny, świszający złowrogo dźwięk. Alenharst nie potrafił go nazwać, lecz wiele dałby za to, by nie usłyszeć go nigdy w życiu.

Dziewczyna bardzo powoli nachyliła się po upuszczony miecz. Nie miał czasu na wahania. Zerwał się z łóżka i silnym kopnięciem posłał broń pod ścianę. Mocne dłonie zacisnęły się na nagich ramionach Egis. Namiestnik spojrzal jej oczy. Dojrzał tam rozpacz i szaleństwo.

- Egis! - krzyknął. - Co się z tobą dzieje? Bogowie, czyś postradała zmysły? Nie poznajesz mnie? Egis, kochana!

Dziewczyna drgnęła, jej oczy na jedno uderzenie serca straciły szaleńczy połysk.

- Ja... nie... chcę... - wyszeptala, po czym osunęła się w ciemność.

Jarva nie pojmował tego, co zaszło. Miał ją przecież w garści. Tańczyła jak marionetka na jego niewidzialnych, sennych sznurkach i gdy miała zrobić to, czego naprawdę od niej chciał, zbuntowała się. Bariera, jaką napotkał w umyśle Egis była tak silna, że uderzenie w nią niemal pozabawiło go jego zdolności.

Nie przypuszczał, że dziewczyna jest tak zdeterminowana. Dlaczego? Przecież uczucie do namiestnika było starannie zaplanowane, stymulowane przez maga i wliczone w jego plan.

Ale było. I nie chciało poddać się kontroli.

Spróbował znowu. Wolniej, uważniej. Egis jednak wciąż opierała się czarowi wiążącemu jej umysł. Naparł mocniej. Usłyszał dalekie, słabe "nie". Potem zapadł mrok.

Momentalnie wyszedł z transu. Był wściekły. Zawiódł. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak rozsypuje się misternie budowany gmach intryg. Nie, pomyślał. Istnieje pewna szansa... Przecież namiestnik się zbudził. I był o krok od śmierci.

Ostrożnie wyszukał umysł koszarowego medyka. Ten jeszcze spał. Mag niczym wąż wślizgnął się do jego mózgu. Medyk był młodym, niedoświadczonym chłopakiem, który jeszcze nie skończył praktyki. Na swojej posadzie nie czuł się zbyt pewnie. Jego straszy poprzednik zginął w jednej z Alenharstowych wypraw, a Kavier był jedynym, który mógł objąć stanowisko, wszyscy inni byli na usługach rodzin kupieckich. Rajcy co prawda lożyli na szpital miejski, ale pracowali tam ludzie jeszcze mniej kompetentni niż Kavier. Zresztą szpital był bardzo daleko od koszar.

Jarva Grithe uśmiechnął się lodowato.

- Co jej jest? - zapytał zniecierpliwiony namiestnik. Nerwowo spacerował po pokoju, w którym leżała Egis. Przy jej łóżku stał młody Kavier, oglądając ją cierpliwie i dokładnie. Podnosił powieki, badał tętno i oddech dziewczyny. Słuchał też uważnie relacji Alenharsta. Wszystko wyglądało nad wyraz jasno. Prosty, wręcz szkolny przypadek.

- Z tego, co mogę zaobserwować, jak i z tego, co mówicie, panie namiestniku, wnoszę, że mamy do czynienia z rzadkim przypadkiem. - Młodzieniec starał się, by jego głos brzmiał oficjalnie i mądrze. - Trudno bowiem nazwać pańską szanowną małżonkę chorą. W istocie nie jest to nic innego jak hipnoza, pospolicie zwana urokiem, względnie opętaniem. Znana już przez ludy prymitywne, udoskonalona przez rangardzkich specjalistów, a opisana w dziele Mindum es Misterra. Potrafi być szalenie groźna, w rękach tych, którzy opanowali tę sztukę. Pozwala bowiem na kontrolę

umysłu. Dzięki niej można narzucić komuś swą wolę, podczas gdy ta osoba nie wie nawet, co się z nią dzieje. Krótko mówiąc, pani Egis nie miała wyboru.

- Czy kiedy się obudzi, spróbuje znowu?
- Możliwe - przyznał Kavier. - Bardzo możliwe.
- Potrafisz jaz tego wyleczyć? - spytał przez zęby Alenharst.

- Nno... nie, nie bardzo - wyjął młody medyk. - Lecz jeśli wolno mieć jakąś sugestię, to Hagaldowie...

- Nie musisz mi niczego sugerować - warknął namiestnik. - Niczego! A skoro ty nie potrafisz jej wyleczyć, leć i szukaj kogoś, kto to umie. I wołaj do mnie setników. I marszałka. Natychmiast!

Chłopak wybiegł. Alenharst w milczeniu patrzył na dziewczynę. Z jej nosa sączyła się cienka strużka krwi. Po chwili przyszedli wezwani dowódcy.

- Miał miejsce zamach - zaczął Alenharst. Rippen przetarł oczy, w których jeszcze czaił się sen. W izbie zapanowała martwa cisza. - Stoi za tym, bez wątpienia, rodzina Hagaldów, która od dłuższego czasu chce oderwać Lukkę od Królestwa Pomocnego. Zmuszony okolicznościami zarządzam stan wyjątkowy. Niniejszym urząd namiestnikowski przejmuje nadzór nad wszelkimi działającymi w mieście instytucjami, a rada miejska ulega rozwiązaniu - rzekł, schylając się nad stołem i podpisując wcześniej przygotowany papier. - Niech wojsko zajmie ratusz. Ty zaś, Morgens - zwrócił się do jednego z setników - zbierzesz cztery setki piechoty. - W głosie Alenharsta zadźwięczały stalowe tony. - Udasz się z wizytą do Eina Hagalda i jego familiantów. I przyniesiesz mi ich głowy.

Mieszkańcy Lukki krwawo przywitani nadchodzący dzień.

Z mieszczącej się przy rynku siedziby filii Banku Agand-burdzkiego wywleczono Armina Dietermenę Hagalda, wraz z kilkoma zausznikami. Najstarszy syn Eina darł się jakby prowadzono go na ścięcie.

Był bardzo bliski prawdy.

Ein Hagald, spędzający noc w towarzystwie pięknej Livii, żony burmistrza, który dziwnym trafem dzień wcześniej poważnie zaniemógł, usłyszał kakofonię głosów, szczęków i wrzasków. Zainteresowany nieoczekiwanym przebudzeniem miasta (wszak dopiero świtało), wybiegł na ulicę, nie zdążywszy nawet zapiąć koszuli. Nie było mu dane zapiąć ją kiedykolwiek.

Trzech rajców, którzy weszli w konfidencję z Hagaldami, bardzo sobie ową przyjaźń chwaliło. Okazałe domy, które właśnie skończyli budować, były najlepszym jej dowodem. Rajcy w trakcie budowy nie oglądali nawet jednego rachunku.

Rachunki przyszedł nad ranem. Polyskiwały stałą.

Jarva nie siedział beczynnici. Był prawie pewien reakcji Alenharsta. Odczekał odpowiednio długo, rzecz jasna w swoim mniemaniu, po czym skierował się ku sypialni Kariny. Zazwyczaj omijał ją z daleka, a to z racji aparycji właścicielki, lecz w tym przypadku wygląd był bez znaczenia. Bardzo starannie wybrał osobę. Wiedział, że ona nie będzie sobie zawracać

głowy powiadaniem przebywających poza rezydencją członków rodziny, lecz przystąpi do organizowania obrony.

Rację miał Ein, mówiąc, że nadawałaby się na jego następczynię. Karina nie zadawała wielu pytań. Blyskawicznie wydała dyspozycje i nim pod bramami rezydencji zjawił się Morgens, trzystu pięćdziesięciu najemników gotowych było do obrony. Świeżo kreowana głowa rodu nie zapomniała pchnąć posłańców do innych, bogatych rodzin mieszczańskich, wzywając do pomocy w imię obrony praw mieszczańskich przed gwałtem. Krasnoludy, zablokowawszy swą dzielnicę przed wojskiem królewskim, same przysłały poselstwo, oferując sojusz.

Nim dzień na dobre ogarnął Lukkę, miasto pogrążyło się w walkach.

Księga Straty. Słowo o Przeciwniku (fragmenty)

(...) bowiem nie ma pana nad Panem, świata poza Nim, królestw, które osiąść można bez Niego, czy co gorsza, z nim walcząc. Był jednak taki, co myślał inaczej. I wypowiedział Panu posuszeństwo. (...) a gdy zrozumiał, że sam nie posiadał mocy Stwarzania, zaczął budować swą dziedzinę z odpadków dzieł Tego Który Jest. Kiedy nastal czas człowieka. Przeciwnik dostrzegł swą szansę, bowiem ludzie, będąc umiłowanym dzieckiem Istniejącego, najbardziej są na zły wpływ podatni (...) jako że cieszą się darem wolności. Z tego korzysta Zbuntowany.

(...) Szczególnie miła jest mu krew, ogień, śmierć. Raduje się, 'kiedy jad zdrady i nienawiści nasącza serca człowiecze. Wie, że ci trafią w jego ręce.

(...) zwą go różnie - Zbuntowany, Ptak Śmierci, Władca Much, Król Szczurów, Wichur Wojny, (...) Pan Jadów.

Brzask rozjaśnił wnętrze celi. Trzy postacie pochylały się nad zapisanymi stronami. Twarz Graina była niezdrowo blada. Drżał cały, chwiał się, lecz nie ustawał w pracy. Księga liczyła już ponad sto stron.

Sobmir westchnął. Jesza, z powodu więziennego chłodu i podłego wikt, zachorował, Grain słabł w oczach... Kto wyniesie księgę, gdyby ze mną i Chomą stało się coś złego? - pomyślał.

- Przyjacielu: odpocznij - rzekł do Graina, zatroskany. - Do spisania pozostało tak mało... mamy czas.

- Nie! - gorąco zaprzeczył Grain. - Niewiele czasu dzieli nas od przybycia Odheyną. A przedtem jeszcze kilka prawd trzeba przelać na papier.

- Skąd możesz wiedzieć, kiedy przybędą piraci? - spytała Choma. - Skoro nie wiemy dokładnie, lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

- Skąd wiem? - spytał Grain. - Czuję to w wietrze, który przenika nawet te grube mury, widzę w ciemnych chmurach ciągnących się stąd aż po horyzont. - Głos Graina stał się mocny, stanowczy. - Słyszę to w szumie morza, w odgłosach bratobójczych walk, staczanych w mieście. Wszędy groza i ciemności. Zerknijcie na

niebo. Od kilku dni słońce nie wygląda zza obłoków. Mroki ciągną ku Czernokreininie I on - owych mroków wyzwalacz i żerca. Dość jest ciemności w sercach ludzkich. Księga musi być gotowa, nim Pan Jadów, skryty w głowach swych slug, przybędzie na kontynent.

Postać Grainy wydała się naraz, mimo wycieńczenia, potężna. Jego oczy zaślnęły mocą. Sobmir wymienił spojrzenia ze swą małżonką. Na ich twarzach zagościła niepewność. Były kanclerz zaczął nieśmiało:

- Dotąd pomijaliśmy tę kwestię milczeniem, ale... - Tu Sobmir zatrzymał się, nabral w płuca powietrza i dokończył: - Hmm, ciekawi jesteśmy, Grainie, kim jesteś? Znakomicie znasz sztukę leczenia, ja jestem najlepszym przykładem. Wiesz wiele o kulcie Tego Który Jest. Daleko więcej ode mnie, a przecież byłem, ba, wciąż jestem, kapłanem. Wieszysz nadejście Zbuntowanego... Czyś jest prorokiem, jednym z owych mędrców, natchnionych przez Istniejącego, o których mówią legendy? Czy tak jak my, jesteś ostatnim z twego ludu, noszącym w sobie Słowo? Dla Księgi własną krew poświęcasz...

- Nie dla Księgi, dla ludzi... Co do mej tożsamości... Ot, jestem. Po prostu. To musi wam tymczasowo wystarczyć. Wasza ciekawość zostanie zaspokojona we właściwym czasie. Niebawem, jak mniemam. Póki co, pochylmy się nad kolejną kartką. A o Jeszę się nie martw. Wkrótce będzie zdrow.

Sobmir wiedział, że nie usłyszy niczego więcej.

Było dobrze po południu, gdy ich praca została przerwana.

W drzwiach celi stanął namiestnik.

Alenharst stał na jednej z baszt. Spoglądał co chwila w stronę miasta. Nad Lilkką unosiły się dymy. Gońcy co i rusz przynosili nowe wieści. Niektóre dobre, inne wręcz przeciwnie. Opór w rezydencji Hagaldów słabł, natomiast krasnoludy, broniące swych szkatuł przed przejściem ich przez Skarbnicę Królewską, trzymały się mocno. Tam koncentrował się opór tych, którzy opowiedzieli się po stronie buntowników.

- Regularna wojna - rzekł Rippen, wyrastając niespodziewanie u boku Alenharsta. - Straciliśmy już stu ludzi. Buntownicy trzystu. Końca walk nie widać. Niezły prezent przygotowujemy dla Odheyna.

- Wolalbyś, by wbili nam nóż w plecy w krytycznej chwili? Na tych, którzy zostaną, będziemy mogli polegać.

- Kto nie jest z nami, ten przeciw nam? Ha, uważaj, byś Królestwu nie zaszkodził. Racje państwowe a pretensje osobiste to nie to samo.

- Za kogo mnie masz? - warknął namiestnik. - To był zamach, nie sprzeczka nowożeńców. A może myślisz, że biorę odwet za chorobę Egis?

- Ty to powiedziałaś. Ja mam na względzie tylko dobro państwa, Alen.

Namiestnik sposępniał. Z rozmyślań wyrwało go pojawienie się Kavier. Medyk był błądy, zmęczony.

Na Alenharsta spoglądał z przestrachem. Namiestnik zauważył jego minę i ponuro stwierdził:

- Nie muszę pytać, czy mojej żonie się poprawiło. Znalazłeś kogoś, kto może pomóc?

Medyk przecząco pokiwał głową.

- Obszedłem wszystkich lekarzy w mieście. Nawet tych kiepskich, nawet znachorów - mówił szybko, nerwowo. - Część o hipnozie słyszała, lecz wszyscy są wobec niej bezradni. Tu mag mógłby pomóc, nie medyk, panie. A czarodzieje teraz na wojnie.

- Nikt? Zaraza na waszą nędzną konfraternię. Ona umrze! - Alenharst zamilkł na moment, myśląc intensywnie. Obróciwszy się do Rippena, powiedział: - Pamiętasz tego oberwańca, co siedzi w naszych lochach? Tego, który był jak odurzony, gdy go przyprowadzili, a później mówił różnymi dialektami? Jak on się zwał?

- Grain. Fakt, twierdził, że zna tajniki leczenia.

- Został tylko on.

- Myślisz, że ci pomoże? Po katuszach, które mu zaserwowaliśmy? - Rippen z rezygnacją pokręcił głową.

- Siłą wyduszę, jeśli tylko będzie co.

- Namiestniku - rzekł Kavier. - Sugeruję, byś nie polegał na radach jeńca. Wyspiarze znani są z medycznej ignorancji.

- Wy również - ryknął Alenharst. - Precz!

Kilka chwil później, schodząc do lochu, mruknął do siebie:

- Wyspiarz? Demony wiedzą, skąd jest ten człowiek.

Sobmir, usłyszawszy, czego namiestnik oczekuje od Grainy, zaniemówił. Słowo nakazywało pomagać każdemu będącemu w potrzebie. Nawet wrogom. Jednakże były kanclerz pamiętał chwile, gdy zmaltretowany Grain wracał do celi. Prawdę rzekłszy, wnoszono go. Istniała jeszcze możliwość, że więzień zwyczajnie nie będzie umiał pomóc, lecz tę furtkę zatrasnął sam Grain, mówiąc:

- Znam przyczynę niemocy twojej małżonki, namiestniku. Sobmir po raz pierwszy był zadowolony, że sztuka leczenia jest mu całkowicie obca. Dzięki Ci, Panie, szepnął, że mi oszczędziłeś takich wyborów.

Grain, w przeciwieństwie do towarzyszy niewoli, nie miał wątpliwości.

- Nie wiem, czy mógłbym pomóc. Musiałbym zobaczyć chorą. Niestety, chodzi mi się niezmiernie ciężko...

- Za moment przyniesione będzie wszystko, czego potrzebujesz. A także Egis. - odparł Alenharst. Zaskoczyła go postawa więźnia, jednak zbyt martwił się o Egis, by zastanawiać się nad czymkolwiek innym. Pospiesznie wyszedł z celi.

Drobiazgowe badanie- dobiegło końca. Grain zwrócił swą mizerną, bladą twarz w stronę Alenharsta. Co my mu zrobiliśmy? - pomyślał przerażony namiestnik. Więzień popatrzył na swego ciemną zę spokojnym, łagodnym uśmiechem i rzekł:

- To nie hipnoza, choć niedoświadczeni mogliby tak myśleć. Prawdę rzekł medyk, że mag mógłby tu pomóc. Mamy bowiem do czynienia z czarem. Jednakowoż, musiałby być to mag potężny, bo i urok jest niezwykle silny. A to, co dzieje się z twą żoną wynika z faktu, że potrafiła ona przeciwstawić się magii.

- Jak? - spytał namiestnik, nie kryjąc zdumienia.

- Zwyczajnie - odrzekł Grain. - Zbyt mocno cię kocha, by zabić. Na to żadna magia nie poradzi. Ale za przeciwstawienie się woli czarodzieja trzeba zapłacić. Jak zawsze. To był jej wybór. Skoro nie była zdolna zabić ciebie, cierpi sama. Czasem cena może być przerażająco wygórowana.

- Czy możesz...? - zaczął Alenharst nieśmiało. Pewność siebie uleciała z niego w jednej chwili.

- Pomóc? Hmm... Powiedz mi, wierzysz w jakiegoś Boga? Nazwa obojętna.

Alenharst przecząco pokiwał głową.

- Widzisz, jest kilka sposobów, by pomóc Egis. Sam mogę tylko złagodzić cierpienie. Wiele zależy tu od ciebie. - Widząc wyczekujące spojrzenie namiestnika, Grain mówił dalej: - Po pierwsze, można zabić czarownika, który czar rzucił. Wciąż napiera na jej psychikę. Drugą drogą mogłaby być religia. Nie masz wyobrażenia, jak wiele Istniejący może zaoferować tym, którzy w niego uwierzą. Lecz nigdy w drugą stronę. Czarownika nie znajdziemy, a z wiarą, sam widzisz... - Grain wzruszył ramionami. - Jest i trzeci sposób - powiedział po chwili z wahaniem. - Ucieczka. Czar jest z rodzaju tych, które słabną wraz ze wzrostem odległości, bowiem zależy on od umysłu maga.

- Ucieczka? Nie, nie, wykluczone - nerwowo wychrypiał Alenharst. - Czarodziej! Musi być gdzieś blisko. Znajdę go. Zabiję!

- Lukka ma sto tysięcy mieszkańców. Dodaj do tego okoliczne wioski. Szukałbyś rok i nie znalazłbyś nikogo - stwierdził Grain.

W tym momencie do celi wbiegł Rippen. Był śmiertelnie blady.

- Szybko, na wierzę - krzyknął do Alenharsta. - Obserwator. Namiestnik zerwał się i wybiegł z lochu. Stanąwszy na

szczybie baszty, spojrzał w kierunku wskazanym przez jednego

z żołnierzy pełniących wachtę.

Chmury rozpełzły się na boki. Krwawe koło wieczornego

słońca chowało się za horyzontem. Hen daleko, od purpurowego

tła odcinały się czarne punkciki. Całe mrowie. Okręty wyspiarzy.

- Nim dzień na dobre nastanie, będą tutaj - podsumował Rippen. - Możemy nie zdążyć z buntownikami.

- Bez obaw - odparł dowodzący akcją Morgens. - Opór się łamie. O świcie nie będzie w mieście jednego rebelianta.

- Oby nas zostało wystarczająco wielu - odparł Alenharst. Rada dłużyła się okrutnie. Jedyne, co go interesowało w owej

chwili, to mała cela, w której leżała Egis. Tam też zbiegl, ledwie narada się skończyła.

Mag leżał w malutkim pokoiku wynajętym tydzień wcześniej w karczmie na obrzeżach miasta, z dala od terenu walk. Jak się okazało, śmierć Alenharsta nie była konieczną, by pogrążyć miasto w chaosie. Szczęście to, pomyślał, bowiem rozumiał, że oporu dziewczyny nie da się przelamać. Gdy ostatnim razem próbował nagiąć jej psychikę, była półprzytomna. Badal ją medyk znajdujący się w królewskich więzieniach. Ten, w przeciwieństwie do poprzednich, miał niejakie pojęcie, co dzieje się z Egis. Lecz tym, że dziewczyna może zostać wyrwana spod jego wpływu, mag przestał się martwić, gdy tylko wzrok Egis przyzwyczaił się do panującego w celi półmroku. Jej oczyma ujrzal to, czego bezskutecznie szukał od dwóch tygodni.

Intuicja mu nie myliła, pomyślał, rozpoznając kanclerza Księstwa Brackiego wraz z żoną. Ten mały to pewnie syn Weslava... Teraz w twierdzy rojno od wojska. Poczekam na przybycie Svaroha. Nie uciekną.

Jarva Grithe zaśmiał się swym specyficznym śmiechem, w którym nie ma cienia radości.

Grain położył ręce na skroniach dziewczyny. Czolo przecięły zmarszczki.

- Sluga Pana Jadów. Nikt inny nie mógłby rzucić tego czaru. Egis leżała spokojnie, krew przestała ciec z jej nosa. Na

dziewczęcej twarzy pojawił się wyraz ulgi, jednak oblubienica

namiestnika wciąż pozostawała w śpiączce.

- Śmierć jej nie grozi. Niczego więcej ode mnie nie oczekuj. Reszta leży w twych rękach.

Namiestnik pokiwał głową. Spojrzał z roztargnieniem na Grain i rzekł:

- Dzięki i za to. Czy jest sposób, bym ci się odwdzieczył? Sobmir wiedział, że Grain jest zbyt honorowy, by prosić o cokolwiek. Zapewne uważał, że był to jego obowiązek. O siebie były kanclerz nie dbał, ale los Jeszy leżał mu na sercu. Była też Księga.

- A i owszem - odparł nieoczekiwanie zapytany. - Mnie i moim przyjaciolom zbrzydl nieco wikt więzienny. Widzisz też zapewne, że żadni z nas szpiedzy. Zresztą Odheyn już blisko.

Chcę więc, byś nas uwolnił, zaopatrzył na drogę i wyprowadził za miasto! Jeśli leży ci na sercu dobro Egis, ona również powinna stąd uciec.

- Dokąd? - spytał.

- W głąb kontynentu, byle daleko stąd. Namiestnik namyślał się chwilę. Przywołał jednego ze strażników, wytłumaczył coś ściszym głosem, po czym odrzekł:

- Dostaniecie wszystko, czego wam trzeba. Wskażę też sekretne przejście stąd za miasto. Nie prosz o więcej.

A twoje rady... Do diabła z nimi, nie będę uciekał jak szczur z tonącego okrętu.

- Na tym właśnie polega wolność wyboru - rzekł Grain, uśmiechając się lekko. - Ja tylko wskazuję możliwości.

Alenharst nie odpowiedział. Wyjął zza pasa butelkę gorzałki, pociągnął obfity łyk i usiadł przy Egis, ukrył głowę w dłoniach.

Wiatr wyl potępieńczo, dziko, niosąc zapowiedź koszmarów nadchodzących dni. Wszechogarniający lęk był w powietrzu, którym oddychano w Lucee, był w wodzie, którą pito z niejakim przestrachem, czaił się w każdym spojrzeniu, w każdym słowie. Rzeczywistość drżała tak, jak drżały serca mieszkańców miasta. Czuli wyraźnie, że coś się kończy, że nadchodzi zmiana. Nie mieli jednak bladego pojęcia o tym, co się zaczyna.

Przekleństwo wątpliwości, pomyślał Alenharst. Od kilku godzin bił się z myślami. Czuł się pokonany. Przed momentem wyszedł Rippen, który przyniósł garść wieści. Bunt wprawdzie zduszono, lecz wśród mieszczan rodziła się nowa partia ugody i układów. Pobiczne rachunki wskazywały, że w razie oblężenia jedzenia starczy najwyżej na trzydzieści dni. Spichlerze były mocno nadwerężone srogą zimą. Trzystu gwardzistów straciło życie podczas tłumienia rebelii. Z miasta uciekały całe rodziny. Kawalkada wozów, wyladowanych dobytkiem i przestraszonymi ludźmi, była długa na milę. Namiestnik rozumiał, że walka została przegrana, nim jeszcze się rozpoczęła.

Poczuł nagłą chęć, by uciec z Egis. Obrona wydała mu się naraz bezsensowna, głupia. Czy ktokolwiek mógł docenić jego wierność? Gdyby chociaż wierzył w jakichś bogów!

Szybko zszedł do lochu. Sobmir i pozostali przygotowywali się do drogi. Grain ledwo trzymał się na nogach.

- Weźmiecie ją ze sobą. - Bardziej stwierdził, niż spytał namiestnik, wskazując Egis. - Z wami będzie bezpieczna.

- Lecz bynajmniej nie szczęśliwa - odrzekł Grain. Jego głos był słaby, drżał. - Ja zresztą daleko już nie zajadę. Chcę tylko ujrzeć niebo, nim umrę. Taki mój wybór. A jaki jest twój?

Alenharst wahał się przez chwilę.

- Chodźcie za mną - rzekł, biorąc w dłoń pochodnię. - Przeprowadzę was tunelem. Potem wrócę. Na zewnątrz czekają na was konie. Jedźcie na południe.

Nim weszli w ciemności śliskiego, niskiego korytarza, do którego wejście znajdowało się na końcu lochów, namiestnik spojrzał na Egis. Dziewczyzna lekko podniosła powieki.

Królestwo za te oczy, pomyślał.

- Ognia! - krzyknął Rippen.

Dziesięć katapult wypuściło płonące pociski, które ciągnęły za sobą ogony czarnego, smolistego dymu. Część bomb z sykiem utonęła w morzu, niektóre osiągnęły swój cel, trafiając w okręty najeźdźców. Zbyt

malo nas, pomyślał marszałek. Flota wojenna została rozbita w pył. Sześć galer zatonięło, resztę okrętów przejął przeciwnik. Ponad sześćdziesiąt drakkarów dobiło do brzegu. Wysypało się z nich kilka tysięcy wojów, znakomicie uzbrojonych i znających swe rzemiosło jak nikt. W bladym, nieśmiałym świetle brzasku schronieni za murami mogli obserwować rzeź nielicznej załogi portu. Po kolei zajmowano stojące przy molo statki. Kilka grup wyspiarzy rozpoczęło budowę beluard, drzewo na ów cel biorąc z rozbiórki swych łodzi. Oni nie mają zamiaru wracać, przemknęło przez głowę Rippena, który czuł narastający lęk. Zadawał sobie pytanie, gdzie podziewa się Alenharst. Nie widział namiestnika od kilku godzin.

Z rozmyślań wyrwał go głos Morgensa:

- Przybyła delegacja mieszczan. Proszą o widzenie z namiestnikiem.

- Czego chcą?

- Proszą, by zrezygnował z obrony. Pewnie się ze strachu poszczali, kiedy zobaczyli flotę wyspiarzy.

- Nikt nie chce umierać. Za państwo, które i tak wali się w gruzy, w szczególności.

- Jest jeszcze coś - rzekł nieśmiało Morgens. - Odheyn przysłał heraldów i o poddanie Lukki prosi. Gotów jest zrezygnować z rabunku miasta, wojom oferuje wolność, a tym, którzy zostaną w mieście, dobrze płatną służbę. Obiecuje utrzymać przywileje kupieckie i wolny handel. Zarzeka się również, że nie będzie żadnych represji, a on jako król rządzić będzie sprawiedliwie i zapewni pokój.

- To są warunki, na które można by przystać - mruknął Rip-pen.

- W tym sęk. Nawet wśród wojska szemrają. Gotowi się jeszcze zbuntować.

Rippen pokiwał głową, patrząc jak z kolejnych okrętów wysypują się wyspiarze. Cafe mrowie.

- Idę do lochów! - rzekł ze złością - Pora, by Alenharst zachował się jak namiestnikowi przystoi!

Marszałek długo nie wracał... Kiedy wreszcie wyszedł z ciemności, jego twarz była biała jak śnieg.

- A jednak - wyszeptał. W jego oczach czaił się żal i zdumienie. Morgens i pozostali setnicy popatrzyli nań bez słowa. Marszałek spuścił głowę.

Biała flaga zalopotała nad twierdzą, nim dzień nastal na dobre.

Rynek nie wyglądał wcale na smutniejszy, niż był. dzień wcześniej, kiedy królewscy rozprawiali się ze swymi przeciwnikami. Odheyn przyjmował przysięgę wierności od kolejnych oddziałów byłego wojska królewskiego. Wielu mieszczan przypatrywało się temu nie bez sympatii, tu i ówdzie rozbrzmiewały entuzjastyczne okrzyki. Nikomu nie było jakoś specjalnie przykro. Jedyńc Rippen, siedząc na grzbiecie swego konia, był ponury i mroczny niczym głębin oceanów.

Nadeszła jego kolej. Podeszedł doń jeden z kapłanów Odheyna, niosąc metalową laskę przedstawiającą węża

- symbol Odheynewej władzy. Marszałek musiał ją ucałować. Chłodny metal zbliżył się do jego ust.

- Nie!!! - krzyknął tak, że cały rynek zamilkł. - Nie!!! - powtórzył jeszcze głośniejszym głosem, wyciągając miecz.

Głowa kapłana spadła na bruk. Rippen spał konia i ruszył w stronę Odheyne, który siedział na zdobionym krześle kilkaset kroków od niego. Miecz ze świstem przecinał powietrze. Ginęli kolejni strażnicy, którzy nieopatrznie stanęli na jego drodze. Był już blisko, tak blisko...

Wtedy ogarnął go tłum, najezony ostrzami mieczy niby stalowy jeź.

Marszałek Rippen ver Froest uśmiechnął się. Honor, pomyślał. Potem skonał.

Kiedy wyszli z lochu, pierwszym, co zobaczyli była gromadka koni. Martwych gwardzistów, leżących nieopodal, zobaczyli chwilę później. Zbyt późno. Suchy śmiech wstrząsnął spokojną, sielankową prawie, rzeczywistością.

- Tym razem, Sobmirze, nie umkniesz - rzekł Jarva Grithe, wychodząc zza wielkiego glazu. Otaczało go dziesięciu zbrojnych.

- Ho, ho, zjawił się również eksnamiestnik z małżonką. Cóż, trzeba będzie dokończyć własnoręcznie, co słodka Egis zawałowała - syknął mag.

Alenharst wyciągnął miecz. Jarva wykonał nieznaczny ruch dłonią. Głownia zmieniła się w pył, który leniwie opadał na ziemię.

- Nie wstyd uciekać, namiestniku, z miasta? Niegodne to i wielce niehonorowe. Ale dość gadania. Szkoda na was magii. Do dzieła, panowie! - rzekł Jarva do oprychów. Ci unieśli miecze...

Księga Straty. Słowo o Objawieniu (fragmenty)

(...) i rzeki: Odstąpcie. Zbójcy odstąpili. Namiestnik i jego z nagłą zbudzona małżonka patrzyli na tego, który zwał siebie Gramem, niczego nie pojmując. I wtedy opadła zasłona z mych oczu, a także z oczu żony mojej. Fala dobrotliwej potęgi rozlała się po polanie. Pojąłem, że zorza nie kłamała. .

(...) Czarownik zamarł ze zgrozy, bo żaden z jego uroków nie znalazł do nas dostępu.

- Ktoś ty? - spytał mag.

- Jam Istniejący, Ten Który Jest, Był i Będzie - odrzekł Pan z mocą gromu. - Jam Siewca, który przyszedł rzucić ziarno na ziemię nieurodzajną. Jam ten, którego prawdziwego Imienia wymówić nie można. Podejź, sługo Zbuntowanego. Pokażę ci twego pana i jego dziedzinę. Pojmiesz, komuś służył. To rzekłszy, Istniejący położył dłonie na głowie czarnoksiężnika. Mag zadrżał. Oczy zasły mu łzami krwawymi. Bez przytomności padł na ziemię. Jego siepacze posnęli.

(...) Alenharst stał z boku, twarz jego okrywała zdumienie. Zwrócił się doń Pan i rzekł: - Raduj się namiestniku, gdyż ty i żona twoja posiadacie jeden z sekretów stworzenia. Nie zapominaj wszakże o innych, bowiem zło im czyniąc, czynisz je sobie.

Podszedł Istniejący i do Jeszy (...) nie mówiąc nic, poglaskał chłopca po głowie.

I wtedy Pan zwrócił się do mnie: - Tyś jest kamień, co pociągnie lawinę, tyś pierwszą cegłą pod fundament nowego bastionu mego. Ty wraz z żoną dobrą dbajcie, by pamięć nie zaginęła. Naznaczam cię, Sobmirze, na pierwszego z mych namiestników (...) tak i każdego następnego naznaczyć przyjdę.

(...) a wyjąwszy setkę kartek spod opończonej rzeki: - Oto ziarno Moje.

Wydobył też ostatnie pióro i miseczkę znajomą. Kolejny raz nakul żyłę. Wręczając mi pióro, mówił: - Pisz, teraz twoja kolej. Kiedyś chciałem zaprotestować, rozkazałem: - Pisz! Ofiara musi zostać dopełniona. To mój dar. Porzuć smutek, albowiem poza czasem jestem i jeszcze niejedną raz zobaczy Czernokreina którąś z mych twarzy. Nadchodzi bowiem czas mroku, kiedy potrzebować mnie będziecie. Zbuntowany głowę podnosi, by wami zawładnąć. Macie ziarno!

To rzekłszy. Pan skonał. Jasność rozbłysła na niebie, płosząc gęste chmury, które od tygodni wisiały nad miastem.

Kilkoro jeźdźców mknęło na południe. Dwie kobiety, dziecko i dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał w sakwie plik naprędcy pozszywanych kartek. Odwiedzali każde napotkane osiedle ludzkie. Wtedy starszy mężczyzna wyjmował z sakwy papiery, które zwał Księgą i fragmenty czytał ludziom.

Nad Czernokreina nadchodził brzask.

Maciej Guzek